

WIAS

W NUMERZE:

B. STRUZEK — Nowa forma produkcji. B. KUZMICH — Ziemia Lubuska.
P. ZIARNIK — Poemat o ks. Ściegiennym. S. SKULSKI — Po „złote runo”.
Poezja walcząca o pokój. Dyskusja o kadrach literackich.
E. MIZIURSKI — Na przykład plewa... Fr. GRABOWSKI — Przez walkę klasową.

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 24. IX. 1950 r.

Nr 38 (269)

STANISŁAW CIEŚLAK

STOLICA W PLANIE 6-LETNIM



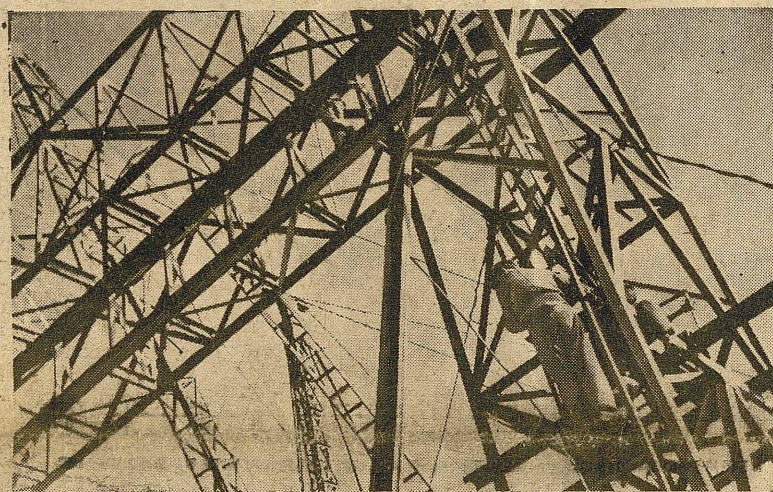
Franciszek Fiedler, zasłużony rewolucjonista i działacz robotniczy, redaktor naczelny „Nowych Drog” — ukończył w dniu 12 b. m. 70 lat życia.

(foto — API)

...Przez swoją półwiekową działalność w ruchu rewolucyjnym, walczącym o społeczne i narodowe wyzwolenie polskich mas pracujących, przez swoją nieustraszoną działalność w bojowych szeregach SDKPiL, KPP, PPR i PZPR — staliście się, Drogi Towarzyszu, żywym symbolem ciągłości historycznej naszego ruchu, jego chlubnych tradycji, jego walk o zwycięstwo idei Marksa — Engelsa — Lenina — Stalina w Polsce...

(Z listu KC PZPR do Franciszka Fiedlera).

WARSZAWA JUTRA



Stalowa konstrukcja fabryki samochodów na Żeraniu.

(foto — Film Polski)



ZMP-owiec E. Kuchar — młody budowniczy Muranowa.

(foto — API)

PRZEJŚCIE od Planu Trzy-letniego (1947 — 1949) do Planu Sześcioletniego (1950 — 1955) nie było tyl-ko mechanicznym odwróceniem kartki kalendarza w ostatnim dniu grudnia 1949 r. Chociaż od począt-ku rządów ludowych w pojęcie od-budowy ze zniszczeń wojennych wkładaliśmy nowe treści społeczne i nigdy nie rozumieliśmy jej w sen-sie materialnym, jako odbudowy tego co istniało, to jednak w ca-łym naszym życiu społecznym roz-poczęcie Planu Sześcioletniego ozna-cza skok jakościowy, przejście do nowego etapu, etapu budowy fun-damentów socjalizmu w każdej dziedzinie życia i rewolucyjnego burzenia pozostałości ustroju ka-pitalistycznego.

Z początkiem roku 1950 zakoń-czyła się odbudowa Warszawy, a rozpoczął się okres budowy nowej, socjalistycznej stolicy, która swą strukturą społeczną, rozplanowa-niem miasta i jego wyglądem wyrażać będzie nową treść społecz-ną naszego ludowego państwa.

Podstawową zasadą całej rewolu-cyjnej przebudowy gospodarczej, kulturalnej i społeczno-ustrojowej naszego kraju zakreślonej w Pla-nie Sześcioletnim jest stworzenie nowych, lepszych i racjonalniej-szych warunków życia człowieko-wi pracującemu — uwzględniając szeroko zarówno jego potrzeby in-dywidualne jak i społeczne.

Jak więc realizuje tę zasadę plan nowej Warszawy?

Przedwojenna Warszawa odzwier-ciedlała wiernie sprzeczności roz-szarpujące społeczeństwo kapitali-styczne. Była kłębem prywatnych interesów, dzunglą, gdzie pa-nowało jedynie prawo silniejszego, miastem, gdzie panowały się wy-zysk, gdzie naturalne prawo czło-wieka do przestrzeni, światła, i pewnego minimum wygod odebrane zostało klasie robotniczej, zepchniętej na Targówek, Wole, Bródno, Pragę, Marymont, Ochotę, na tereny najjaśniejsze, nie posiadające kanalizacji, wody, światła, zieleni, komunikacji, wol-nych terenów dla odpoczynku i

urządzeń kulturalnych, na tereny tonące w błocie i w brudzie.

Od tych przeludnionych i zanied-banych dzielnic robotniczych jakże jaskrawo odbijały dostatnio wypo-sażone i urządzone dzielnice boga-czy.

W r. 1939 małe mieszkania jedno i dwuizbowe stanowiły aż 68,6 proc., czyli przeszło dwie trzecie ogólnej liczby mieszkań warszaw-skich. Przy tym na mieszkania jed-noizbowe przypadało przeciętnie aż 3,8 osoby na 1 izbę, podczas, gdy już w mieszkaniach 3-izbowych przypadało tylko 1,6 a w mieszka-niach od 6 i więcej izb — za-ledwie 0,9 osób na 1 izbę. W dodat-ku mieszkania robotnicze pozba-wione były z reguły takich urzą-dzeń jak woda, kanalizacja, elektryczność, gaz, i znajdowały się w fatalnych warunkach sanitarnych i zdrowotnych.

Wcale nie lepsze od warunków mieszkaniowych były i warunki pracy klasy robotniczej w przed-wojennej Warszawie, która stano-wiła przecież jeden z poważniej-szych ośrodków przemysłowych na-szego kraju, skupiając 10,5 proc. ogółu robotników przemysłowych Polski i wytwarzając 30 proc. całej jej produkcji przemysłowej.

„Jeszcze dziś — z gorącością stwierdza inż. arch. St. Jankowski — gdy się mówi „fabryka”, to w wyobra-źni nasuwa się wysoki mur z cegły, miast gzymsu bogato zwień-czony tłuczonym szkłem, z nad którego wylania się ponura ściana o małych zakratowanych oknach. Nasza „dzielnica fabryczna” przy-wodzi obraz wąskich uliczek z ry-nsztokami i las sterczących komi-nów, zięjących gęstym, czarnym dymem (na 1 km. kw. Woli spadało miesięcznie 80 ton sadzy). Promień słońca i zieleni drzew rzadkim był tu gościem, zmęczony, zawsze śpieszący się człowiek — smutnym tych dzielnic bywałcem”.

Niszczycielska furia okupanta hi-tlerowskiego uderzyła w pierwszym rzędzie na przemysł Warszawy. Hitlerowcy wiedzieli dobrze, że niszc-ząc przemysł Warszawy, niszcza i jej klasę robotniczą, proletariacki trzon miasta. A proletariacki War-szawę wyróżniał się zawsze nie tylko

wysokimi kwalifikacjami zawodo-wymi, ale również wysokim pozio-mem świadomości politycznej i energii rewolucyjnej. Tu w War-szawie rodził się polski ruch robot-niczy i wyrastały pierwsze rewolu-cyjne organizacje marksistowskie.

Ten okrzyk w rewolucyjnych walkach proletariacki trzon War-szawy stał się też główną oporą w narodowo-wyzwolenczej walce z okupantem hitlerowskim.

W Planie Sześcioletnim War-szawa stanie się znów jednym z głów-nych ośrodków przemysłowych kraju. Powstanie tu 42 nowych za-kładów przemysłu wielkiego i śred-niego: fabryka samochodów osobo-wych, 3 fabryki metalowe, fabryka urządzeń radiofonicznych, fabryka urządzeń lekarskich, fabryka far-maceutyczna, huta szkła żarówek, fabryka lamp żarowych, fabryka aparatów elektrycznych, Państwo-we Zakłady Poligraficzne — Dom Słowa Polskiego, nowa fabryka Państwowego Monopoli Spirytuso-wego, fabryka konfekcyjna i za-kłady dziewiarskie, fabryka guzik-ów, zakłady fermentacyjne i brow-ar, zakłady przemysłu spożywcze-go, fabryka instrumentów muzy-cznych, odlewnia żelaza.

Odbudowane, przebudowane i roz-budowane zostaną m. n. następują-ce zakłady:

Fabryka wyrobów farmaceutycz-nych (dawniej Spiess), odlewnia metali, fabryka czekolady i cukier-ków (dawn. Wedla), Państwowe Za-kłady Optyczne, Instytut Przemys-łu Chemicznego, Główny Instytut Mechaniki, Fabryka Kotłów i Ma-zyn, zakłady cukiernicze (dawn. fabryka Fuchsa), Państwowe Przed-sięwzięcie Elektryczne, wytwórnia sprzętu komunikacyjnego, Zakłady Elektryczne „Era”, Państwowa Fa-bryka Traktorów „Ursus”, fabryka wzmacniaków, dokończenie budowy fabryki konfekcyjnej.

Zapoczątkowana zostanie i za-kończona w pierwszym etapie bu-dowa nowej elektrowni przemysł-o-wej oraz wybudowana zostanie pierwsza ciepłownia dzielnicowa (Wola lub Muranów). Ukończona zostanie rozbudowa gazowni na Woli. O wielkości tych fabryk świadczy ich kubatura, równa 5.600 tys. metrów sześciennych, a więc taką objętość jaką by miała 5-pię-trowa hala fabryczna o wys. 15 metrów, obejmująca wewnątrz po-wierzchnię 40 ha ziemi, hala mogą-a swobodnie pomieścić 250 tys. ludzi.

Te nowe obiekty przemysłowe o pięknej architekturze, oprawione w zieleni terenów wypoczynkowych, zelektryfikowane, wyposażone we wszystkie niezbędne urządzenia so-cjalne — jaskrawo różnić się będą od kapitalistycznych fabryk i ka-pitalistycznych dzielnic fabrycz-nych.

Dzięki tej szybkiej rozbudowie przemysłu liczba robotników w Warszawie (która z 54 tysięcy w roku 1946 wzrosła już do 130 tys. w r. 1949) osiągnie 200 tys. osób, a więc 40 proc. ogółu zawodowo czyn-nej ludności stolicy.

Klasa robotnicza wraca do War-szawy, ale nie w dawnej roli eks-ploatowanych pariasów, ale w roli gospodarza nowej stolicy i całego kraju.

Wymownym tego wyrazem jest fakt, że główne osiedla robotnicze: Młynów, Mirows, Nowe Miasto, Sta-re Miasto, Mariensztat, Marszał-kowska Dzielnica Mieszkaniowa — stają nie gdzie indziej, a właśnie w śródmieściu wzdłuż głównych arterii komunikacyjnych stolicy: trasy W-Z i ul. Marszałkowskiej, a więc na terenach najlepiej wy-

posażonych, dawniej dostępnych je-dynie dla zamożnej „elity” War-szawy.

W osiedlach tych, oraz w osie-dlach okalających dzielnice prze-mysłowe nowej Warszawy (Wole, Żerań, Targówek, Kamionki i Słu-zewiec) wybudowanych zostanie po-nad 100 tys. izb. o kubaturze po-nad 100 mil. metrów sześciennych, a warto pamiętać, że kubatura wszystkich budynków przedwojen-nej Warszawy wynosiła 103 milio-ny metrów sześciennych.

„Program zabudowy tych no-wych osiedli mieszkaniowych nie ograniczy się do dostarczania sa-myh mieszkań, lecz obejmuje wy-posażenie tych terenów w urzędze-nia socjalne dla zaspokojenia ma-terialnych i kulturalnych potrzeb mieszkańców osiedli. Urządzenia takie, jak pralnie, kąpieliska, skle-py i domy towarowe, żłobki, przed-szkola, szkoły podstawowe, domy społeczne, dziecińce i tereny wypo-czynkowe zapewnią nie tylko wy-godę mieszkańcom, lecz stanowi-będą zarazem uzupełnienie oddziel-nych mieszkań.

W ten sposób po raz pierwszy w dziejach Warszawy ludność robot-nicza otrzyma należne jej wygod-ne, jasne, suche, estetyczne, na-leżące ogrzane mieszkania, korzysta-jące w pełni z tych wszystkich udo-godnień, jakie nowoczesna cywil-i-zacja oddaje do dyspozycji czło-wieka” — mówi w dniu 3 lipca 1949 r. Prezydent Bierut.

Troska o człowieka pracy nie kończy się na urządzeniu jego miej-sca pracy i mieszkania. Ustrój so-cjalistyczny — to troska o najlep-sze warunki wszechstronnego, two-rzącego rozwoju człowieka, a więc i troska o oświatę, zdrowie i kulturę świata pracy.

130 przedszkoli, 68 szkół podsta-wowych, 22 szkoły ogólnokształcą-ce, 50 szkół zawodowych, pół milio-na metrów sześciennych nowych bu-dynków dla szkół wyższych, 330 tys. metrów sześciennych nowych do-mów akademickich; podwojenie w porównaniu ze stanem przedwo-jennym liczby ambulatoriów, aptek, ośrodków zdrowia i szpitali; dzie-siątki nowych boisk sportowych, stadionów, przystań nad Wisłą, wielka hala sportowa przy ul. Pro-stej i Żelaznej, rozpoczęcie bu-dowy Stadionu Olimpijskiego na 100 tys. widzów na Powiślu; tysiące hektarów nowych zieleni i par-ków; odbudowa 3 teatrów w gma-chu teatru Wielkiego, 2 nowe tea-try dla młodzieży i dzieci, nowa filharmonia, 2 wielkie kina cen-tralne i 12 nowych kin dzielnic-o-wych, nowy gmach Biblioteki Na-rodowej, osiedlowe domy społeczne i domy kultury — oto w co wypo-saża lud pracujący w przeciągu lat sześciu swą stolicę, a tym sa-mym i siebie.

Rozumną planowością swej bu-dowy, funkcjonalnym związkiem poszczególnych dzielnic miasta, swą nową narodową w formie, a socja-listyczną w treści architekturą, No-wa Warszawa, która powstaje w Planie Sześcioletnim przyspieszy dojrzenie socjalistycznej świad-o-mości mas ludowych stolicy, bę-dzie promieniować i oddziaływać na cały kraj.

W oczach kapitalistycznego Za-chodu Warszawa była miastem umarłym, które nie da się obu-dzić do nowego życia. Fakt jej szybkiej odbudowy i wspaniałej rozbudowy na jedno z najpiękniej-szych miast świata, świadczy wy-mownie o wyższości naszego idące-go ku socjalizmowi ustroju, a przez to przyspiesza zwycięstwo pokoju i socjalizmu w skali światowej.

Stanisław Cieślak

Zygmunt Krogulski

Warszawa — pomnik pokoju

Dwa bratnie miasta rosną w siłę.

Dwa gołębie białe wlatują beztrósko.

Zgłaszam do Światowej Nagrody Pokoju

Warszawę i Moskwę.

Warszawa rośnie. Warszawa wydłuża ramiona

Jak człowiek na powitanie.

Pomnik „Wieczna przyjaźń dla ludów”

W Mieście Pokoju niech stanie.

Krzywa produkcji jak socjalizm wzrasta

Ponad najwyższe piętro —

POKÓJ na całym świecie

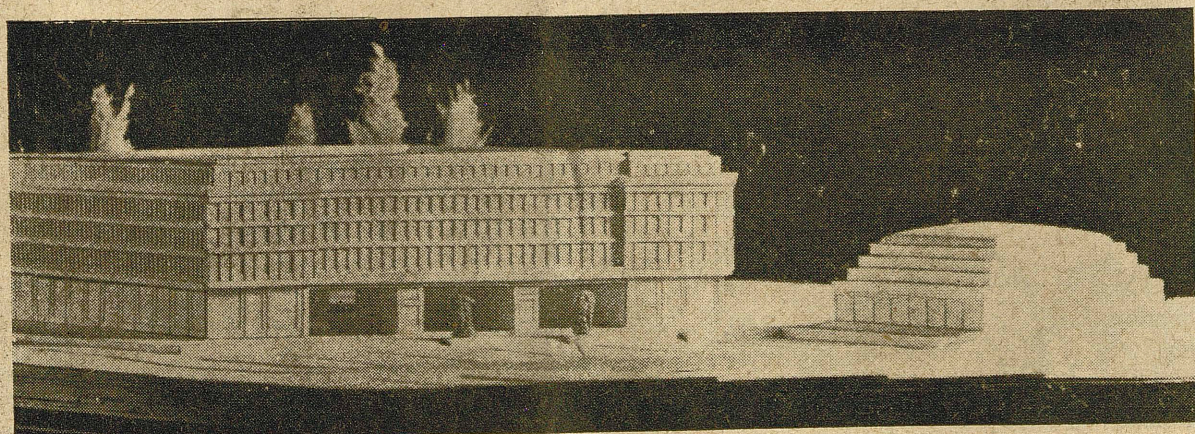
Dla Warszawy największe święto.

Pokój dla najbliższej siostry — Moskwy.

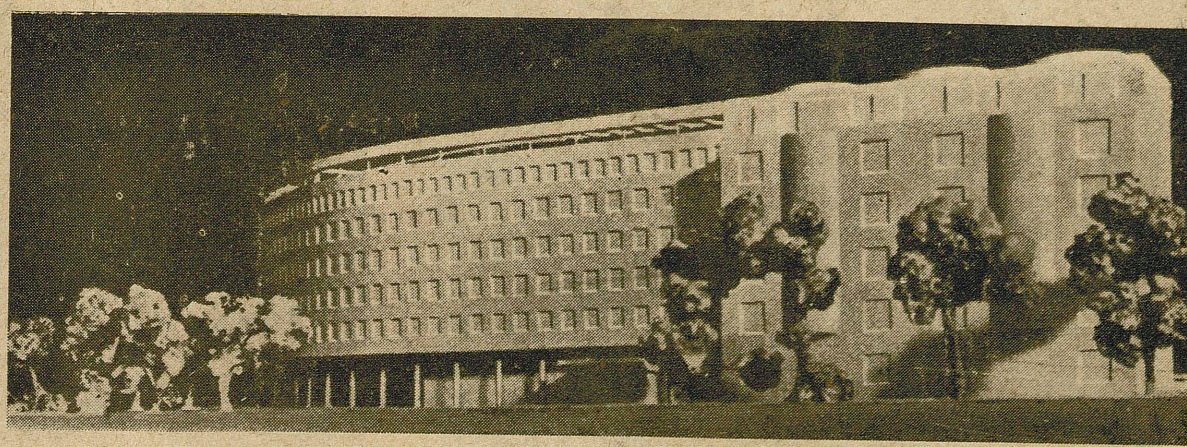
Pokój dla Pragi, Budapesztu, Bombaju

Pokój dla Pekinu i wolnej Korei.

Pokój dla ludów wszystkich krajów.



Makieta domu PZPR.



Makieta domu społecznego jednej z warszawskich dzielnic mieszkaniowych.

BOLESŁAW STRUŻEK

NOWA FORMA PRODUKCJI — NOWA KULTURA

SPÓŁDZIELNIA PRODUKCYJNA REPREZENTUJE NOWĄ FORMĘ WYTWARZANIA

Gdybyśmy spojrzeli na spółdzielnię produkcyjną od strony form procesu wytwarzania i porównali z dotychczasowym sposobem produkcji na indywidualnych gospodarstwach, to stwierdzimy, że spółdzielnię produkcyjną charakteryzuje:

- Produkcja na większą skalę w oparciu o doskonałe środki i sposoby produkcji.
- Społeczna organizacja pracy, racjonalna postawa w stosunku do procesu wytwarzania,
- socjalistyczny stosunek do pracy,
- wykluczenie wycisku w pracy, (sprawiedliwy podział dochodu).

Oznacza to, że członek spółdzielni produkcyjnej i każdy pracujący w spółdzielni (członkowie rodzin), muszą zaznajomić się z lepszymi narzędziami pracy, opanować sztukę posługiwania się nimi, odrzucić tradycyjne sposoby pracy na roli, a oprócz się o nowoczesne, oparte na badaniach naukowych sposoby uprawy roślin i hodowli zwierząt. Tego członkowie spółdzielni muszą się uczyć, uczyć od bratniej POW-owskiej, od agronomów, od PGR-ów. Przede wszystkim jednak członkowie spółdzielni odrzucają tradycję, irracjonalny stosunek do produkcji muszą nauczyć się sami korzystać z fachowej literatury i doświadczeń istniejących w spółdzielni.

Społeczna organizacja pracy, podział na brzołady i ognia wymaga, aby członkowie nauczyli się pracować zespołowo, aby wzajemnie wpływać na wyniki pracy zespołowej jak: nowatorstwo, chęć wzajemnej pomocy, upowszechnienie indywidualnych osiągnięć w całym zespole, dyscyplina pracy, współzawodnictwo, poczucie odpowiedzialności itp. Społeczna organizacja pracy zastępuje dawną rodzinno-sąsiedzką, a stwarza nową, wielokrotnie silniejszą więź jednego zakładu wytwórczego, jakim jest spółdzielnia produkcyjna, pomagając częstotliwość kontaktowania się ludzi z sobą; kontakty te są wypełnione treścią zbiorową, określonych zadań.

Wymienione uprzednio, zasadnicze procesy wytwarzania są niezbędne, muszą zaistnieć, aby można było mówić, że dane przedsiębiorstwo produkcji rolnej jest spółdzielnią produkcyjną nie tylko w nazwie ale w treści.

Oczywistym jest, że cechy te są nowe, że nie były one związane z dawnym indywidualnym gospodarstwem. W gospodarstwie indywidualnym produkcja miała charakter drobnotowarowy, zadania wytwórcze wykonywane były w ramach rodzinnych, w gospodarstwach kapitalistycznych dochodziły sezonowe lub stałe siły najemne, sam zaś proces wytwarzania uzależniony był w wielkim stopniu od przyrody, zdany na łaskę losu — „jak Bóg da to się urodzi”.

Świadczy to, że do spółdzielni produkcyjnej weszli ludzie, którzy mieli inne przyzwyczajenia, inne nawyki, że ludzie ci muszą przyswoić sobie nowe treści, nowe postawy, nowe cechy, które by były zgodne z nową formą produkcji.

„ODSTAJA MI LUDZIE OD SPÓŁDZIELNI”

Na naradzie wytwórczej przewodniczących spółdzielni produkcyjnych z terenu województwa szczecińskiego w sierpniu br. jeden z przewodniczących w dyskusji powiedział mniej więcej w ten sposób:

W naszej spółdzielni pozostało nam jeszcze dwóch analfabetów. Mamym z nimi kłopot, bo oni odstają od naszej spółdzielni. Nie przeczytają sobie przepisów w książkach obrachunkowej, nie mogą sprawdzić wykazu środków produkcyjnych, nie przeczytają naszej gazetki śiennej.

Wypowiedziane przez przewodniczącego spółdzielni słowa: „ludzie odstają od spółdzielni” najbardziej dosadnie odzwierciedlają w prostych słowach powiązanie nowej kultury z procesami produkcyjnymi.

Inny jeszcze przykład. Spółdzielnia produkcyjna w Wojnowie (pow. Obornik) powstała na gruzach dawnego majątku obszarniczego. Prawie wszyscy jej członkowie, to dawni robotnicy rolni. Obecnie jeszcze u niektórych członków spółdzielni istnieją tendencje do utożsamiania spółdzielni z dawnym folwarkiem. W czym to się przejawia? Przejawia się w tym, że ci członkowie nie przejmują w dostatecznym stopniu na siebie funkcji kierowania spółdzielnią, współdecydowa-

nia i współgospodarowania. Nie dyskutują planów produkcyjnych, planu zasiewów, nie są aktywnymi na ogólnych zebraniach członkowskich, chętnie przyjmują natomiast zlecenia wykonania pracy od kierownika brzołady czy też przewodniczącego. Świadczy to o tym, że u ludzi tych pozostały jeszcze poważne pozostałości dawnego folwarcznego systemu, który nie pasuje do socjalistycznej formy produkcji rolnej. Bo przecież spółdzielnia wymaga, aby każdy z członków miał poczucie odpowiedzialności za stan gospodarstwa i organizację spółdzielni, żeby każdy członek nie był tylko ślepy wykonawcą, ale pełnym inicjatywą, pomysłowością, współodpowiedzialnym członkiem kolektywu zakładu wytwórczego, jakim jest spółdzielnia produkcyjna.

Jeszcze jeden przykład. Spółdzielnia produkcyjna powstała w starej wsi — Mizerce. Jeszcze przed jej zorganizowaniem prawie cała młodzież odeszła z drobnych gospodarstw do pracy w Chodakowie i Bryniewie, do pracy w PKP lub do Warszawy (pow. Sochaczew). Na zebraniu ogólnym w dniu 3 września br. członkowie zastanawiali się, kto będzie pracował w spółdzielni, gdy młodzież odeszła i dalej będą odchodzić do pracy, a dotychczasowi członkowie będą się starzeć. Na tym przykładzie wynika, że tam, gdzie istniały możliwości porzucenia pracy na drobnych gospodarstwach, młodzież szła do pracy w innych gałęziach gospodarki narodowej.

Praca na roli nie zawierała w sobie czynników atrakcyjności, nie przedstawiała możliwości „wybiecia się”. Młodzi pociągali warunki pracy, w przemyśle, pociągali tzw. „miejską kulturą”. Świadczy to również, że ludzie z Mizerki nie zrozumieli jeszcze istotnych treści spółdzielni produkcyjnej, że spółdzielnia pojmują wyłączenie jako mechaniczne zespolenie drobnych gospodarstw, nie rozumieli tego, że procesy wytwarzania w spółdzielni będą niemal na równi atrakcyjne dla młodych ludzi, co w pracy w zakładzie przemysłowym, biurze itp.

SPÓŁDZIELNIA PRODUKCYJNA JAKO NOWA FORMA PRODUKCJI MUSI MIEĆ SWOJĄ NADBUDOWĘ KULTURALNĄ

J. Stalin w artykule „W sprawie marksizmu w językoznawstwie” stwierdza: „Każda baza ma swoją odpowiadającą jej naddbudowę. Baza ustroju feudalnego ma swoją naddbudowę, swoje polityczne prawa i inne poglądy i odpowiadające im instytucje; baza kapitalistyczna ma swoją naddbudowę, socjalistyczna swoją. Jeśli baza ulegnie zmianie i likwidacji, to w ślad za nią ulega zmianie i likwidacji jej naddbudowa; jeśli powstaje nowa baza, to w ślad za nią powstaje odpowiadająca jej naddbudowa”.

Niewątpliwie w 1700 gromadach u-spółdzielonych powstała „nowa baza” i niewątpliwie w ślad za nią w tych gromadach — powstaje odpowiadająca jej „naddbudowa”. A czy sprawy, związane z powstaniem „nowej naddbudowy” są sprawami, na które nie należy zwracać zbyt wielkiej uwagi, ograniczając się tylko do prowadzenia nowej bazy i jej umocnienia? Aby odpowiedzieć na to pytanie należy zastanowić się, czy naddbudowa kulturalna spółdzielni przyspiesza okrzepnięcie i umocnienie bazy, czy czy utrwała nową formę produkcji i przyspiesza jej rozwój.

Członek spółdzielni, który wyrobił w sobie zamiłowanie do czytelnictwa, broszur fachowych, artykułów traktujących o produkcji rolnej i hodowli zwierząt zwiększy tym samym poziom sił wytwórczych w spółdzielni.

Zespół artystyczny, który na scenie przedstawia obrazek o socjalistycznym stosunku do pracy, o współzawodnictwie, ukazuje młodzieży i starszym wzór, jak powinno się pracować w spółdzielni. Przedstawia zagadnienie pracy na zupełnie innej platformie niż to miało miejsce w indywidualnej gospodarce, czy to ma wpływ na życie gospodarce spółdzielni? Oczywiście. Członkowie spółdzielni będą się starali naśladować „bohaterów ze sceny”, poprzez swą pracę będą stwarzali bohaterów takiej to i takiej brzołady.

Działalność świetlicowa, kulturalna, sport — wszystko to winno wyrabiać wśród członków ducha kolektywnego działania i w ten sposób wzmacniać społeczną organizację pracy. Redagowanie gazetki śiennej — to stworzenie organu opinii kolektywu wytwórczego o własnej pracy, organizacji, sposobach wytwarzania i postawie poszczególnych członków. Wzmianka w gazecie o członku, który np. źle wykonał pracę — to również czynnik

podnoszenia produkcji. Słowem, różnorodne formy działalności kulturalnej w spółdzielni mogą się przyczynić do udoskonalenia samych form produkcji, do zwalczania tych elementów, które przeszły z członkiem do spółdzielni produkcyjnej z poprzedniej formacji ustrojowej. Należy tu uprzątnąć sobie sens wypowiedzi „Naddbudowa wyrasta z bazy”, ale nie znaczy to bynajmniej, że bierna, neutralna, że zachowuje się obojętnie wobec losu swej bazy, przeciwnie, skoro się zjawia, staje się ogromną siłą, aktywnie dopomaga swojej bazie w kształtowaniu się i utrwalaniu, czyni wszystko, aby dopomóc nowemu ustrojowi w dobiegu i zlikwidowaniu starej bazy i starych klas.

„Bo też inaczej być nie może. Naddbudowa stwarza bazę, po to właśnie, by jej służyła, by aktywnie pomagała ukształtować się i utrwalić, by aktywnie walczyła o likwidację dawnej bazy, zbliżając się do kresu swego życia wraz z jej dawną naddbudową”. (J. Stalin. W sprawach marksizmu w językoznawstwie).

Oznacza to, że pytanie, czy zajmować się sprawami kulturalnymi w spółdzielniach czy nie — wypada odpowiedzieć — należy się zajmować, nie czekać aż spółdzielnia okrzepnie gospodarstwo, aż wszystkie sprawy gospodarcze „będą napięte na ostatni gwóźdź” ale równocześnie o wzmoc-

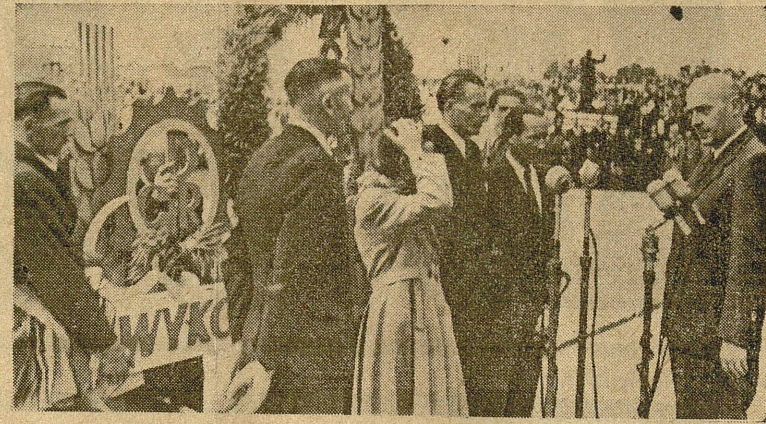
nienie organizacyjno - gospodarcze należy walczyć przez rozwój życia kulturalnego - oświatowego w spółdzielni, słowem walczyć o nową, dostosowaną do spółdzielni produkcyjnej — socjalistyczną naddbudowę.

Oczywiście, nie niesłusznym by było, aby Zarząd spółdzielni w okresie, gdy trzeba przeprowadzić akcję siewną naradzał się nad sprawą zaktywizowania świetlicy, czy też nad inną, podobną sprawą. Ale słuszną jest rzeczą, żeby o sprawy kulturalne w spółdzielni walczyło koło ZSCH, żeby aktywną działalność na tym odcinku prowadziło koło ZMP, Koło Gospodyń ZSCH i SP.

Spółdzielnia produkcyjna, jako typ socjalistycznego przedsiębiorstwa, stwarza pełne możliwości do aktywizacji kulturalnej mieszkańców spółdzielni, rozwiązuje trudności, które istniały na wsi, opartej o drobnotowarową indywidualną produkcję, gdyż w spółdzielni:

- warunki produkcji pozwalają i wymagają, aby członek żył kulturalnie,
- istnieją lepsze warunki do wyposażenia spółdzielni w techniczne środki umożliwiające działalność kulturalną,
- istnieją warunki i potrzeby aby kultura ta była kulturą człowieka pracy.

Bolesław Strużek



Wzięcie wieńca gospodarzowi dożynek Ob. Premierowi J. Cyrankiewiczowi. (foto — API)



Fragment pochodu dożynekowego na ulicach Lublina. (foto — API)

BOLESŁAW KUŹMICH

ZIEMIA LUBUSKA NA DRODZE DO AKTYWIZACJI GOSPODARCZEJ

OSTATNIO Ziemia Lubuska na skutek uchwały Sejmu stała się odrębną jednostką administracyjno-gospodarczą w postaci województwa zielonogórskiego. Do województwa tego weszły zachodnie powiaty woj. poznańskiego: babimojski, suleciński, gorzowski, gubiński, krosieński, międzyrzecki, rzepliński, skwieński, świebodziński, strzelecki, wschowski i zielonogórski, oraz północne powiaty woj. wrocławskiego: głogowski, kożuchowski, szprotawski, żagański i żarski.

W ubiegłym okresie pięciu lat dokonaliśmy „na tych ziemiach ogromnego wysiłku w postaci ich zasiedlenia, odbudowy i początkowego zagospodarowania. Według przewidywań obliczeń ogólna suma strat wynikała ze zniszczeń wojennych w budynkach miejskich i zagrodach wiejskich, nie licząc zniszczonego ich wyposażenia, uzbrojenia terenowego i urządzeń komunikacyjnych — wynosiła około 10 miliardów złotych przedwojennych. Takich budynków miejskich i zagrod wiejskich, których stopień zniszczenia był większy niż 15 proc. zastaliśmy na tym terenie około 40.000. Przeszło 25 proc. ogólnej liczby zagród było w ten sposób zniszczonych; sumę strat z tego powodu ocenia się na około 150 milionów złotych przedwojennych. Suma strat w miastach była kilkakrotnie wyższa. W niektórych powiatach procent zniszczonych budynków był bardzo wysoki, np. w powiecie żarskim około 65 proc., rzeplińskim — około 70 proc. zagród wiejskich było zniszczonych. Niezależnie od zniszczeń w budynkach teren ten był bardzo zniszczony w urządzeniach komunikacyjnych, w urządzeniach komunalnych oraz w inwentarzu żywym i martwym. Dziś po pięciu latach wyteżonej pracy teren ten posiadamy odbudowany i zasiedlony w takim stopniu, że możemy w okresie planu 6-letniego przystąpić do jego szybkiej i szerokiej aktywizacji gospodarczej, stosownie do jego potrzeb, możliwości i roli, jaką może spełniać w całokształcie gospodarki narodowej.

Jeśli się stoi przed tym zadaniem, to warto i należy uświadomić sobie, jaka jest obecna ogólna sytuacja gospodarstwa województwa, na czym ten rozwój może i powinien się opierać. Województwo nie rozporządza dziś wielkimi zasobami naturalnymi, poza węglem brunatnym, torfem, gliną i żwirem. Nie mniej jednak i te zasoby mogą i powinny być wykorzystane w ramach przydzielonych środków dla rozbudowy przemysłów odpowiednich.

Ustawa o planie 6-letnim przewiduje dość poważny rozwój przemysłu na terenie województwa zielonogórskiego, zwłaszcza socjalistycznego przemysłu drobnego. W tym ostatnim zakresie władze wojewódzkie mają szczególne prerogatywy i możliwości działania na rzecz swego terenu; są bowiem władzami planującymi w znacznym stopniu rozwój tego przemysłu i dla dużej jego części występują w roli inwestorów naczelnych. Chodzi tu o przemysł, podległy Centralnemu Urzędowi Drobnej Wytwarzalności, a więc państwowy przemysł miejscowy, kierowany przez Dyрекcję Przemysłu Miejscowego, oraz przemysł i rzemiosło, objęte przez Centralną Spółdzielnię Inwalidów, Centralne Rzemieślniczą, Związek Spółdzielni Pracy i Centralne Przemysłu Artyst. i Ludowego. Tak samo b. przemysł samorządowy, dzś t. zw. pomocniczy prze-

mysł komunalny podlega planowaniu terenowemu.

Plan 6-letni, chcąc w jak najskuteczniejszy sposób, wyrównać zaniechania przedwojennej gospodarki kapitalistycznej na tym terenie, ustala 6-krotny wzrost wartości produkcji socjalistycznego przemysłu drobnego na terenie województwa w okresie 6-letnia, niezależnie od równoczesnego dużego wzrostu wartości produkcji przemysłu wielkiego i średniego. Pociąganie to za sobą odpowiedni wzrost liczby zatrudnionych w przemyśle, a tym samym korzystną przebudowę struktury zawodowej ludności i wzmocnienie ośrodków klasy robotniczej. Liczba zatrudnionych w przemyśle wzrosnie o 75 proc. i wyniesie ponad 70.000 osób na koniec 6-lecia. W zakresie wielkiego i średniego przemysłu, ustawa przewiduje budowę fabryki włókien sztucznych i syntetycznych w Gorzowie, fabrykę celulozy w Kostrzynie, zakłady przemysłu bawełnianego w Howie, oraz sześć innych ważniejszych zakładów.

W rezultacie tak silnego rozwoju przemysłu socjalistycznego, struktura gospodarstwa województwa ulegnie zdecydowanej poprawie. Pomimo bowiem bardzo dużego równoczesnego rozwoju rolnictwa, wartość produkcji rolnej w stosunku do wartości produkcji przemysłu socjalistycznego, znacznie się obniży, a województwo zacznie się przekształcać z rolniczoprzemysłowego na przemysłowo-rolnicze. Przyczyni się też do tego znacznie sam rozwój gospodarki rolnej i leśnej, który rozszerzy przez to bazę surowcową dla rozwoju przemysłu spożywczego przetwórczo-rolnego i drzewnego.

Pod względem warunków dla gospodarki rolnej województwo zielonogórskie należy zaliczyć raczej do słabszych. Posiada bowiem gleby przeważnie płaszczyste. Stąd znaczna część województwa pokryta jest lasami. Jest to teren najwęższej leśistości, gdyż około 30 proc. powierzchni województwa — to lasy. Szczególnie duże skupienie lasów (ponad 40 proc. powierzchni) wykazują powiaty: krosieński (ok. 54 proc.), skwieński (47 proc.), strzelecki (41,8 proc.), zielonogórski (47 proc.), szprotawski (42 proc.), żagański (42 proc.) i żarski (46 proc.). Jest to również bogactwo województwa, na którym rozwija się przemysł drzewny. Pomimo dość słabych, raczej leśnych gruntów, plan 6-letni przewiduje duży rozwój rolnictwa, ale równocześnie zdecydowanie przestawia to rolnictwo w kierunku hodowlanym. Trzeba jednak pamiętać, że system

socjalistycznej gospodarki w rolnictwie nie jest tak mocno krepowany warunkami przyrodniczymi jak inne, ponieważ system ten samie warunki też kształtuje. I dlatego też na terenie słabego, zdawało by się, pod względem glebowym województwa plan 6-letni wyznacza również i dla produkcji rolnej poważny cel do osiągnięcia. Celem tym jest zwiększenie na koniec planu 6-letniego ogólnie w rolnictwie plonów z hektara, a mianowicie dla pszenicy o 35 proc., dla jęczmienia o 55 proc., dla ziemniaków o 65 proc., dla buraków cukrowych o 36 proc. w stosunku do planów w 1949 r. W gospodarstwach państwowych i w spółdzielniach produkcyjnych zwiększenie plonów będzie jeszcze większe. Cele te są zupełnie realne, ponieważ plan przewiduje równocześnie wielką produkcję nawozów sztucznych oraz bardzo szerokie zastosowanie mechanizacji, traktorowej uprawy, która pozwoli na planowane zwiększenie plonów.

W rezultacie w 1955 r. będą wyższe zbiory jęczmienia o 75 proc., ziemniaków o 113 proc. i buraków cukrowych o 70 proc. niż w 1949 r. Poza tym na odcinku produkcji rolnej województwo ma możliwość rozbudowy rejonu uprawy winorośli na terenie powiatów: zielonogórskiego i gubińskiego, oraz uprawy sliw krzaczastych i wini w powiatach: wschowskim, kożuchowskim i głogowskim. Szczególną uwagę należy zwrócić na uprawę winorośli — dostosowanej do klimatu, która w omawianym rejonie przy końcu XIX w. zajmowała obszar dwudziestokrotnie większy. Rejon ten winien się stać bazą uprawy polskiej winorośli i dostarczyć sadzonek dla innych terenów Polski.

Na odcinku produkcji zwierzęcej plan 6-letni przewiduje wzrost pogłowia bydła o 115 proc., a więc przeszło dwukrotnie, do liczby 350.000 sztuk, pogłowia trzody chlewnej o 112 proc. do liczby 410.000 sztuk, a owiec aż o 262 proc. do liczby 135.000 sztuk. Równocześnie zostanie rozbudowana baza paszowa. Ogólnie wartość produkcji roślinnej wzrosnie w okresie planu 6-letniego o 51 proc., a produkcji zwierzęcej o 136 proc., co świadczy o wyraźnym przestawieniu na kierunek hodowlany. Przy końcu 6-lecia wartość produkcji hodowlanej dorówna wartości produkcji roślinnej.

W rezultacie wykonania planu 6-letniego globalna wartość produkcji wzrosnie o 80 proc., czyli prawie dwukrotnie. Wynik ten zоста-

nie osiągnięty kosztem przeszło 20 miliardów nakładów inwestycyjnych na rolnictwo co wynosi 135 mil. zł. na 100 km. kw. Niezależnie od tych sum przewidziane są oddzielnie nakłady inwestycyjne na spółdzielnię produkcyjną, które w okresie 6-lecia będą się bardzo rozprzestrzeniały. Równocześnie z rozwojem przemysłu, podniesieniem się stopy życiowej robotników i zwiększeniem masy towarowej na rynku, zostanie rozbudowana sieć handlu detalicznego, która w mieście wzrosnie przeszło trzykrotnie, na wsi półtora raza a łącznie przeszło dwukrotnie. „Ilość” punktów żywienia zbiorowego przeszło 6 i pół krotnie. Na bazie dobrze rozbudowanej sieci handlu odbywać się będzie pogłębianie spójni ekonomicznej między wsią a miastem, oraz stopniowe niwelowanie różnicy w zaopatrzeniu wsi i miasta.

Wyrazem wielkiej troski o równoległy rozwój kultury na Ziemi Lubuskiej będzie wspaniały, nowoczesny rozwój urządzeń socjalnych i kulturalnych, dla usunięcia wszystkich zaniechań i zapotrzebowania potrzeb ludności pracującej. Dzięki rozbudowie tych urządzeń wzrosnie wydatnie liczba dzieci w przedszkolu, liczba dzieci w szkole podstawowej, liczba punktów bibliotecznych, liczba gromad radiofonizowanych, kin wiejskich i miejskich itp. Nakłady inwestycyjne jakie zostały wyłożone na ten cel wyniosą 9,9 miliarda zł. czyli 13 milionów zł. na 1.000 mieszkańców. Poprawią się też stosunki mieszkaniowe świata pracy, ponieważ województwo otrzyma 16,6 miliarda złotych, czyli 22 milionów zł. na 1.000 mieszkańców, na budowę 12.500 szt. nowych izb i na remonty 70.000 izb starych.

Reasumując można stwierdzić, że plan 6-letni nakłada na województwo bardzo duże i trudne zadania, ale zadania realne, w wyniku których zmieni się struktura gospodarstwa, zawodowa i klasowa Ziemi Lubuskiej, a zwiększenie wartości produkcji doprowadzi do wzrostu dobrobytu i podniesienia poziomu życia kulturalnego mieszkańców woj. zielonogórskiego.

Bolesław Kuźmich.

SPROSTOWANIE

Szan. Ob. Redaktorze! w ostatnim nrze „Wsi” pojawiły się moje wierzejsze z adnotacją, że napisane zostały wiosną 1949 r. Otóż zasła pomyłka, owe utwory napisałem tego lata w czasie akcji terenowej pisarzy.

Przy sposobności proszę również drobna, lecz istotną omyłkę druku w ostatniej linijce utworu „List do żony”, która winna brzmieć: „spłynie po żniwnym trudzie w powiewie nowu kruchy sen.”

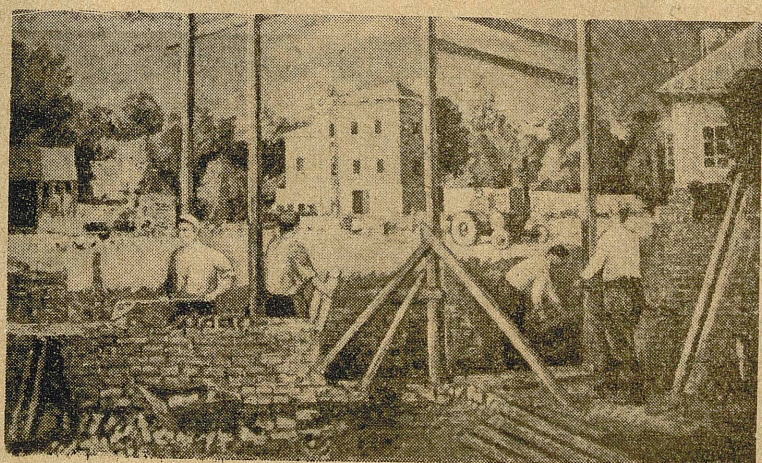
Proszę przyjąć wyrazy szacunku
Stanisław Piętko

SPROSTOWANIE

W nrze 37 „Wsi” opuszczono nazwisko tłumacza wierszy Iwana Wazowa. Jest nim Zdzisław Jerzy Kempf. Redakcja „Wsi” przeprasza niniejszym tłumacza za to niedopatrzenie.



W uroczystościach dożynekowych w Lublinie wzięła udział delegacja kółkożniżników radzieckich.



Włodzimierz Wilkanowicz: „Nowa Wieś”. (foto — H. J. Kulowski)

PIOTR STANISŁAW ZIARNIK

Wokół epiki (III)

POEMAT O KSIĘDZU ŚCIEGIENNYM

WOLANIE o wielką poezję, która by była na miarę historycznych przeobrażeń, dokonujących się w naszym życiu politycznym, społecznym i gospodarczym, na miarę wielkich przemian w świadomości mas robotniczych i chłopskich, która by — wyrastając z doświadczeń wieloletniej kultury — sięgała w przyszłość, wołało o odrodzenie zartużonych rodzajów poezji, a przede wszystkim poematu epickiego, słyszy się niemal na wszystkich zjazdach i większych konferencjach, poświęconych współczesnej literaturze. Odrzucenie wielkiego poematu epickiego lub poematu o elementach epickich stało się jednym z najważniejszych postulatów, stawianych wobec współczesnych poetów, jednym z najważniejszych odcinków walki o realizm socjalistyczny poezji, toteż harda próba, choćby nawet najmniejsza, podejmowana w kierunku realizacji tego postulatu, wykazująca aktywność poetów na tym odcinku walki, zasługuje na najpilniejszą uwagę. Są to bowiem wypadki podejmowania się trudnego zadania, usiłowań na wielką skalę, zamiarów, których wyniki nie przyjdą odrzucać, ale po dłuższym okresie czasu. Jest to zadanie trudne, dowodzą tego nieliczne próby, podejmowane sporadycznie, a że na wyniki trzeba czekać dość długo, świadczy nieliczna ilość tych prób na przestrzeni sześciu lat powojennych.

Przed wszystkim wymienić tu można kilka utworów, napisanych przez poetów, skupionych niegdyś w Oddziale Wijskim ZZLP, a więc „Poemat nowosilski” Józefa Ozgi-Michalskiego, „Kostkę Napierskiego” Stanisława Skonecznego, „Opowieści kraj-obrazu” — Jana Marii Giesgisa i „Janosika” Stanisława Nędzy-Kubińca. Pomijając „Opowieści kraj-obrazu” Giesgisa, który temat epiki opracował metodą liryki krajoznawczej, stwierdzać trzeba, że utwory Skonecznego, Nędzy-Kubińca i Ozgi-Michalskiego — zarówno przez tematy mocno związane z walką chłopów o wyzwolenie społeczne, jak i przez bezpośrednie związki formalne z poezją ludową, były próbami odkrywczymi, były etapami zbliżającymi do odrodzenia epiki w naszej współczesnej poezji. Dość długo jednak próby tych poetów pozostały odoobnionymi. Wydawało się nawet, że oni sami zarzucili pracę nad poematem epickim. Późniejsze utwory Ozgi-Michalskiego nasycone były albo liryką publicystyczną, albo stawały się gawędami. Aoy da obraz literacki ważnej dla rozwoju ruchu ludowego partyzantki w Kieleckich Ozga-Michalski przerzucił się do prozy i napisał niewydaną jeszcze powieść pt. „Ludowy potok”. Skoneczny, w wydawnym w 1947 r. zbiorze poezji „Wiemni ziemi”, po „Kostce Napierskim”, który został napisany w 1941 r., umieścił kilkanaście wierszy partyzantkich, jakby w ten sposób wskazując, że te liryczne wspomnienia, nasycone krajoznawstwem, zawierają elementy poetyckie, które będzie rozwijał w dalszej twórczości. Niedo-Kubińca, po osiągnięciu tak ciekawego wyniku, jakim jest „Janosik”, zdaje się zawiesił swą góralską lutnię na kotku i od tego czasu napisał parę drobnych wierszy, które nie mają nic wspólnego z poematem epickim.

A przecież te próby, a szczególnie poemat Ozgi i Kubińca, wyraźnie ukazały realne możliwości odrodzenia poematu epickiego. Dowodziły, że wtedy właśnie prowadzi droga do pogodzenia współczesnej poezji z masowym czytelnikiem. Ze względu na elementy fabularne poemat epiki jest formą wypowiedzi poetyckiej najłatwiej zrozumiałą i przyswajalną dla ludzi, którzy nie mogą czytać większości współczesnych utworów poetyckich — nawet o tematyce politycznej, bo gubi się ona w skomplikowanym obrazowaniu, odrealniającym wszystkie elementy znaczeniowe utworu i przenoszącym je w sferę wizji poetyckiej. A przecież potrzeba tworzenia takiej arcywizyjnej wizji w tym celu, aby poprzez nią odkrywać głębsze wartości wzruszeniowe i znaczeniowe relacji, z których ta wizja jest zbudowana, nasz czytelnik się buntuje, bojkotując utwory poetyckie.

Onawane wielokrotnie przez prasę literacką, choć w sposób niedostateczny, doświadczenia Juliana Tuwima, oraz o wiele słabiej doświadczenia Józefa Ozgi-Michalskiego, Stanisława Skonecznego i Stanisława Nędzy-Kubińca nie zdołały przekonać naszych współczesnych poetów o możliwościach odrodzenia wielkiego poematu epickiego, nie zdołały pokazać, że renesans poematu epickiego jest największą szansą współczesnej poezji.

Dyskusja wokół Majakowskiego — namiętna, czupurna i jak wszystkie takie wybuchy — krótkotrwała, wykazała, że i krytyka tej szansy współczesnej poezji nie dostrzega, tak jak nie dostrzega takich istotnych braków współczesnej poezji — jak jej zupełne niemal oddramatyzowanie, co jest przyczyną trudności w wprowadzeniu do utworów poetyckich żywego człowieka, jego postaci, gestów, słów, działania...

*

W tym stanie rzeczy, po tych kilku sporadycznych próbach odrodzenia poematu epickiego czy poematu o elementach epickich, gdy wśród olbrzymiej większości współczesnych poetów trwa jeszcze nieprzełamane a mocno zakorzenione uprzedzenie, pochodzące ze schyłkowej epoki burżuazyjnej, przesadę, że ta gatunki poetyckie nie mogą się rozwijać obecnie, ukazuje się „Plebana z Chodla” Stanisława Skonecznego. Ten poemat o sprawie ks.

Piotra Ściegiennego, liczący około 3.600 wierszy jest właśnie poematem epickim i jako taki — stanowi rewelacyjne wydarzenie w naszym życiu literackim.

„Plebana z Chodla” daje poetycki obraz życia i działalności ks. Piotra Ściegiennego od czasów dzieciństwa do chwili skazania go przez sąd carski i wywiezienie na Sybir, ujmuje więc historię działacza niepodległościowego i społecznego na przestrzeni 42 lat jego życia. Działalność ks. Ściegiennego ściśle związana jest z historią zarówno walki narodowo-wyzwolenczej narodu polskiego, jak i walki o wyzwolenie społeczne chłopów. Po wojnie, w obliczu historycznych przemian gospodarczych, społecznych i politycznych na naszej wsi i wobec narastającej rewolucyjnej świadomości chłopstwa pracującego, związanej z całą radykalną tradycją wywolenych ruchów chłopskich, postać ks. Ściegiennego i jego działalność wśród chłopów nęciły zarówno ideologów ruchu ludowego, jak też historyków i literatów. Ks. Ściegiennemu przyznano więc poczesne miejsce jako prekursorowi radykalnego ruchu ludowego, który w kilkadziesiąt lat później wystąpił w formie zorganizowanej jako jedna z sił politycznych najpierw w zaborze austriackim, a potem rosyjskim. W okresie poprzedzającym zjednoczenie ruchu ludowego, gdy z tradycji tego ruchu skrupulatnie oddzielono radykalne jego nurty i odkryto ich źródła, szczególnie dużo uwagi poświęcono sprzyśnieniu proboszcza z Chodla. Prace historyków, poświęcone pierwszej połowie XIX w., pomogły ustalić rozmiar i znaczenie działalności tego trybuna ludu w sutannie.

Skoneczny nie odkrył więc tematu, ale opracował jeszcze raz temat odkryty i już poprzednio w inny sposób opracowany. Nie dziwnego, jest to bowiem temat historyczny i nie w fakcie odkrycia szukać należy zasługi pisarza, a w sposobie jego ujęcia, w osiągniętym wyniku, w wartościach samego utworu. Niewątpliwie, wybór tematu jest czynnością bardzo istotną i trzeba stwierdzić, że Skoneczny wykażal przy wyborze duże wycucie politycznej aktualności i potrzeby opracowania tego tematu, w którym spłata się kilka do dziś aktualnych zagadnień społeczno-politycznych.

Skoneczny podejmując temat sprzyśnienia ks. Ściegiennego, który stał się organizatorem i przywódcą tej zwycięzkiej fali wywolenczej, narastającej we wsiach polskich około 1840 r., chwycił w ręce wątek historyczny, dający szeroką perspektywę na historię sprawy chłopskiej. Trzymając się historycznego wątku wydarzeń, jakim „dostarczą” opracowania i materiały historyczne o ks. Ściegiennym, mógł dać obraz życia na wsi ówczesnej w kontakcie z rozwojem akcji wywolenczej w okresie poprzedzającym Wiosnę Ludów.

Czy Skoneczny zmógł się, że to, co stwarzał temat, w pełni wykorzystał?

Poemat Skonecznego objął ogromny obszar zagadnień życia wsi ówczesnej, nie mniej nie jest to epopeja, bo autor zwięźle nurt poematu do osoby ks. Ściegiennego i sprzyśnienia nie daje obrazu codziennego życia wsi, sytuacji poszczególnych rodzin chłopskich, opuszcza całą bogatą stronę obyczajową — zwyczajową, nie daje obrazu pracy chłopów i konkretnych warunków życia — nawet życia rodziny ks. Piotra.

Jest to bezsprzecznie duży brak utworu Skonecznego. Mówię — „brak” — choć to nie było zadaniem autora, który świadomie zwięźle zagadnienie historii chłopów pańszczyźnianych do sprawy ks. Piotra Ściegiennego i dlatego ukazując cele sprzyśnienia, ukazywał tylko to, że sprawa chłopskiej, co z tymi celami ściśle się wiązało.

Poemat skomponowany jest w sposób bardzo prosty, mianowicie, przedstawia kolejne momenty charakterystyczne dla życia i działalności ks. Ściegiennego, trzymając się dość ściśle relacji historycznych, a przede wszystkim tekstu studium dr. M. Tyrowicza „Sprawa ks. Ściegiennego”, skąd autor przenosi do poematu także niemal, zdania ze zmienionym tylko szykiem wyrazów, wybór momentów z życia i pracy ks. Piotra przeprowadził autor z myślą o głównej sprawie, a mianowicie o ideologicznym założeniu, o politycznym programie sprzyśnienia, o tych politycznych przesłankach, które wpływały na formowanie się przekonań i poglądów ks. Piotra.

Stawiając sobie taki cel, autor najobszerniej zajął się tym okresem życia ks. Ściegiennego, w którym stwarzył on sprzyśnienie chłopskie, a więc gdzieś od 1838-40 roku do aresztowania w końcu października 1844 r. Ta część poematu przez zbyt skrupulatną zgodność z relacjami historycznymi, poza które bardzo rzadko wybija, przypomina wierszowaną kronikę, w której nawet autor cały tekst napisanego przez ks. Ściegiennego „Listu Ojca Świętego Grzegorza XVI Papieża” do ludu polskiego, przełożył z prozy oryginału na wiersz. Każdy jednak rozdział tej kroniki błyska fragmentami o dużych walorach artystycznych, czy to nastrojowym opisem roku, czy dialogiem, czy własnym interesującym wątkiem fabularnym. Lektura więc tego poematu, ustępującego co do długości tylko „Kwiatom polskom”, nie nuży czytelnika, nienawykłego do tego rozmiaru utworów wierszowanych i do tego rodzaju ujęcia wątków epickich. Uwagę przykuwa rozwój sprawy postępujący stale naprzód, niezbaczający ani na chwilę od głównego tematu, spokojnym tokiem — bez dramatycznych spięć, bez prze-

Poprzednio zabierali głos: W Nr. 36 „Wsi” — Anna Kamińska, Leon Pokora i A. E. Kiro Nowaczyk o poemacie „Janosik” Nędzy-Kubińca, W Nr. 37 „Wsi” — Maria Janion, Jan Błoński — o poemacie „Nad Engelsem” Wygodzkiego.

soków — zmierzający do tragicznego finału. Spisek ks. Ściegiennego mający na celu wyzwolenie chłopów, obdarzenie ich ziemią obszarczą i stworzenie po wyzwoleniu z niewoli

na uwypuklenie momentów ideologicznych i na ówczesny stan sprawy chłopskiej. Powstaje pytanie, czy walory artystyczne, którymi autor wyraża prawdę ideologiczną o ważnym



Ks. Piotr Ściegienny przy pracy.
(portret kredką Włodzimierza Tadeusza Ściegiennego — Kraków 1949)

carskiej wolnej demokratycznej republiki polskiej, republiki bez ucieku, w której władzę stanowił będzie lud, sprowadził na jego twórcę i kierownika oraz na najbliższych współpracowników zesłanie do kopalni na Syberii. Taka jest treść poematu — kroniki sprawy ks. Piotra Ściegiennego.

Na ogół ten wiersz jest płynny i swobodny, choć zdarzają się banalne rymy i przykre latanie rymu. Autor, opowiadając, opisuje, prowadzi dialog prostym, jasnym językiem, bez wymyslności i skomplikowania składowych, bez trudnej metaforyki, bez wy-

nego zgodnie z wynikami badań historycznych, zwracając dużą uwagę na momenty dziejów chłopskich, stoją na wysokości ambitnych zamierzeń autora? Odpowiedź nie łatwa bez dokładniejszych badań.

Wskazywanie obrazów przyrody jest w poemacie bardzo bogate, przy czym nie są to opisy szerokie, ale raczej krótkie — parozdanowe — rzadko dłuższe. Autor niemal każdy rozdział, a jest ich w trzech częściach razem 36, rozpoczyna krótkim obrazem przyrody, przede wszystkim pory roku lub pory dnia, a wewnątrz rozdziału wtrąca krótkie, jednowersowe zazwyczaj zdania.

Obrazy przyrody i pogody są tak rozmaite i używane dla coraz innych

rzutni — niemal — językiem potocznym, który przełamuje w wiersz jakby mimochodem. Mimo więc wielu potknięć, czasem aż denerwujących autor operuje wierszem z dużą swobodą. I to jest najważniejszy walor artystyczny „Plebana z Chodla”.

Język poematu, który — rzecz jasna — wielu, wykształconym czytelnikom wydać się może zbyt prozaicznym, zbyt monotony i bezbarwny — masie czytelników powinien znakomicie ułatwić przyswojenie utworu. A to wydaje mi się ważniejsze niż zaspokojenie wymagań czytelników wykształconych literacko, bo tych jest bardzo mało. Myślę więc, że nawet liczne nieporadności można więc autorowi darować, choć należy je wytknąć, stosując to jako zabieg wychowawczy. Zresztą sądzę, iż autor zdawał sobie sprawę z tych nieporadności. W wielu miejscach czytelnik czuje, jak autor dławi się w tym wędzidle, którym jest stały 12 zgłoskowiec. Szkoda, że autor tak się go kurczowo trzymał, bo i czytelnika ta jednostajność czasem nuży.

„Plebana z Chodla” przedstawia, jak powiedziałem, historię spisku ks. Ściegiennego na tle sprawy chłopskiej w pierwszej połowie XIX wieku, ale nie ma ambicji stać się epopeją chłopską. Oprócz zwyczajów, obyczajów, obrazów codziennego życia chłopów tamtych czasów ma on jeszcze inne braki, które już nie wynikają z zamiarów autora i które są poważnymi niedomogami utworu. Bardzo istotnym niedomogiem „Plebana z Chodla” jest — moim zdaniem — mała wyrazistość plastyczna zarówno postaci jak i tła, na którym te postaci występują i działają. Czytelnik nie widzi ani nie słyszy żadnej z postaci występujących w poemacie, nie otrzymuje ostatecznych bodźców ze strony autora, aby stworzyć sobie plastyczny, zmysłowy obraz tła — chaty rodzinnej ks. Piotra, klasztoru, domu aptekarza Pantoczka, plebanii w Wilkopolu i Chodlu. Nawet opisy wsi Wilkopolu, Chodlu, czy Krajna, potraktowane są raczej kronikarsko, a nie plastycznie. Wypadki dzieją się na tle zjawisk przyrody — pół roku, pół dnia, pokazanych zresztą w sposób mało konkretny, toteż czynią one wrażenie poetyckich wyidealizacji.

Dawkanie obrazów przyrody jest w poemacie bardzo bogate, przy czym nie są to opisy szerokie, ale raczej krótkie — parozdanowe — rzadko dłuższe. Autor niemal każdy rozdział, a jest ich w trzech częściach razem 36, rozpoczyna krótkim obrazem przyrody, przede wszystkim pory roku lub pory dnia, a wewnątrz rozdziału wtrąca krótkie, jednowersowe zazwyczaj zdania.

Obrazy przyrody i pogody są tak rozmaite i używane dla coraz innych

celów, że niesposób określić dokładnie ich funkcji w utworze. Myślę, że w wielu wypadkach upadek tej wielkiej formacji poetyckiej, jakim jest poemat epiki, wiąże się z jej słusznym — z rozwojem powieści. Skoro funkcje poematu epickiego i epopei przejęła powieść, to w związku z jej wspaniałym rozwojem i dorobkiem, wiele ze składowych epopei musiało przejść również poważny rozwój. Tak więc powieść wydoskonaliła metody kompozycji wątków fabularnych, pogłębiła analizę postaci, wydoskonaliła formy operowania postaciami, a przede wszystkim wypracowała precyzyjne metody pokazywania tła społeczno-politycznego i ekonomicznego, na którym rozwija się fabuła. Gdy dziś mówimy o odrodzeniu poematu epickiego, a więc i o epopei, rozumiemy przez to, że odrodzenie to nastąpi przy wykorzystaniu nie tylko bogatego dorobku poetyckiego, ale i powieściowego. Inaczej odrodzenie poematu epickiego było by objawem uwstecznienia procesu rozwojowego tego gatunku literackiego.

Poemat Skonecznego — oceniany pod tym kątem widzenia — niestety nie wnosí do literatury dużych osiągnięć. Skomponowany jest w sposób kronikarski, nie ma żadnej akcji obyczajowej, nie ukazuje postaci a tylko je wymienia, nie ożywia tła. Kulminacyjne punkty poematu — to główne momenty z działalności ks. Ściegiennego, nie wsparte kulminacją innych elementów fabularnych, bo tych elementów jest mało i występują tylko w ramach poszczególnych rozdziałów, nie odzwierciedlając już późniejszego, nie dołączając się już później. Do tego dołącza się zupełnie „odpsychologizowanie” poematu, przez co postacie są płaskie i anemiczne. Brak plastycznego opisu ludzi i ich działania połączony z tym brakiem stanowi dotkliwy niedomóg „Plebana z Chodla”.

*

Z tych pobieżnych uwag nad poematem Skonecznego jasno wynika, że próba odrodzenia poematu epickiego, najpoważniejsza z dotychczasowych prób w literaturze powojennej obok wielkich osiągnięć posiada i wiele braków. Zarówno osiągnięcia jak i wady „Plebana z Chodla” są ważne przy analizie tego utworu, bo uczą pisarzy, bo pokonują drogi i manowce, bo rozwijają nieuczestnicząco od dawna główny szlak poetycki. Ta zasługa poematu Skonecznego daje mu wysoką rangę wśród współczesnych utworów poetyckich, czyni z niego utwor, prawdziwie rewelacyjny.

Piotr Stanisław Ziarnik

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

CHŁOPIJSKA EPIKA POETYCKA

Rzecznicz kameralnej poezji małych form, mianujący ją nie bez zarzeczności poezją awangardową, z dużą pewnością zdawał się przesądzać los i przyszłość poezji opisowej i dramatycznej, poezji szerszych form. Przenosząc z okresu dwudziestolecia reszki dekadentizmu uwiadu, który w tamtym okresie uchodził za wyraz poetyckiego rewolucjonizmu i jako taki niewątpliwie przynosił pewne ożywienie form; awangarda w poezji powojennej usiłowała postawić za wzór i jedyny pobierz poezji te właśnie małe formy, w których wypieszczone słowo miało grać rolę językowego klejnotu. Tworzył język — to było hasłem i naczelnym przykazaniem dla poezji, rzucanym z awangardowych pozycji. Tworzeniem języka miało być artystowskie zdobnictwo metaforyczne, jak najwiecej oryginalności składni i wyrazu. Łączyło się to z jak najmniej treścią, gdyż ta była elementem — obciążającym, wulgaryzującym t. zw. „czystą” poezję.

Nie dziwne, że wobec takich postulatów, poezja drobnych form nie wytrzymała naporu nowych treści społecznych i ich historycznego potosu. Wśród swarów i polemicznych docieków, nowe życie przecisnęło się do nowej poezji, a jego treści poszukiwały dla siebie potrzebne formy. Wraz z bankrutem awangardowych kanonów i ostatecznym wyschnięciem przemaforyzowanej, kameralnej liryki, młoda poezja nabierała coraz szerszego oddechu. Oprócz wierszy pełnych życia i nowatorskiej prostoty, pojawiały się nowe poematy, zadziwiające często dynamizmem i celnością nowych skojarzeń i ujęć formalnych. Rewolucyjnie budująca treść strzelała celnie i trafiała w przekonujący i pulsujący swobodą wyraz poetycki. Wyras ten spożytkowywał niewątpliwie pewne zdobycze awangardy, jej sposoby techniczne, ale równocześnie przekreślał jej ciastną esencjonalność, zezwalał powieść coś więcej ponad mikroskopijne spiecia liryckie.

Młodzi poeci, często wywodzący się z awangardowych pieleszy, przetrzaskali i wypychali siłą społecznych faktów wydarli się z awangardowego impasu. Poezja zaczynała wracać do dziedzin opuszczonych, do opisu dramatycznego, nie wzdrygała się przed tak zwaną publicystyką poetycką i agitacją.

Jeszcze w okresie awangardowego kryzysu Lucjan Szeuwald marzył o wskrzeszeniu szerokiej, epickiej poezji i w swej twórczości pozostawił

ślady prób w tym kierunku. Uważał on słuszenie, że wielkie wydarzenia, wymagają w ujęciu trwałych, niejako monumentalnych form literackich. Taka trwała forma jest poemat, przetrstający w pewnych wypadkach w powieść poetycką. Rodzaj ten w swych najlepszych, klasycznych, przykładach, zwykł zamykać pewne okresy społeczne i związane z nimi tradycje. Może też on służyć sławie dokonujących się wielkich społecznych zdarzeń, których dziejowy patos nie daje się prozaicznie skwitować.

Zjemy w okresie, w którym zaczęło się i dokonujące się w dalszym ciągu przemiany ustrojowe społeczne i kulturalne, narzucają jako tworzywo artystyczne nie tylko aktualne obiekty tematyczne. Wyciągają one z przeszłości to wszystko, co w społecznej genezie wiąże się z dzisiejszością. Fakt, że obecnie chłop, przeszedłszy różne stadia społecznego w rozwoju, mogą wywalczać sobie lepszą formę ekonomicznego bytu, że spychani z ziemi na której od wieków pracowali, powracają teraz do niej w gromadnym posiadaniu, fakt ten nie wyrzucił z próżni społecznej, ale jest rezultatem walki trwałej i długiej. Walka ta nie jest jeszcze ukończona, a tylko toczy się na innej płaszczyźnie społecznej. Dlatego literackie upamiętnienie jej minionych etapów jest ważne i potrzebne.

Tu właśnie, na tym odcinku, okazywała swą przydatność poezja epicka. Ambitna próba Stanisława Skonecznego — udowodnia, że poezja dużych form ma rację bytu, że powieść poetycka może odżyć w warunkach ożywionej budowy nowej epoki, czerpiąc siły z odgłosów dawniejszych walk z uciekiem społecznym.

Poemat Skonecznego „Plebana z Chodla” stanowi nie tylko poetycki obraz wybitnej postaci chłopskiego działacza i rewolucjonisty w sutannie, ale odzwierciedla również w dużej mierze współczesne mu, społeczne tło. Niewola chłopska doszła do granic możliwości społecznego wyzysku. Czyniła ona chłopów ślepych i głuchych na wszelkie przejawy życia narodowego. Powstanie w jego oczach było walką panów z panami o panowanie.

Trzeba było ułusnie i umiejętnej pracy, aby w chłostwie obudzić poczucie wspólnoty narodowej. Praca ta mogła dać rezultaty dopiero na

gruncie postępowej ideologii społecznej, mówiącej o zniewolowaniu nierówności klasowych, o prawach dla chłopów. Takiej pracy podjął się z fanatycznym zapalem chłopski bohater ks. Ściegienny.

Utwór Skonecznego stanowi epickie ujęcie zdarzeń konkretnych, odmalowanych z dokładnością, najdrobniejszych szczegółów. „Plebana z Chodla” jest artystycznym wglądem w dany okres społeczny, z dalszej perspektywy czasowej. Autor nie jest związany emocjonalnie z epoką, na gruncie osobistej wspomnieniowości, która bywa źródłem literackiego sentymentu w odtwarzaniu przeszłości. To złożyło się na surową konkretność realiów w poemacie Skonecznego.

Z pomiędzy zwartych i żywych w poetycznym kolorystyce opisów wiejskiego krajoznawstwa, wybijają się sceny, dyskusje i postacie, których działanie jest podporządkowane społecznej celowości i określone wyraźnie z tego punktu. Wzmiankowana mnogość historycznych szczegółów w poemacie, z jednej strony podnosi jego wartość dokumentalną, ale z drugiej obciąża i w pewnych momentach banalizuje artystycznie. Autor znalazł się tu między młotem, a kowadłem. Aby zyskać większą pełnię artystyczną, poeta musiałby zrezygnować w wielu szczegółów faktualnych, albo też rozbudować poemat tak, aby rozrzedzić je w ogólnym zestawieniu kompozycyjnym. Utwór nie wyróżnia się konstrukcją dramatyczną, ale jest o pisem chronologicznie uszeregowanych wydarzeń, których osią jest żywa i bezpośrednio ujęta postać ks. Ściegiennego.

Tu nasuwa się wyraźne wniosek, określający charakter utworu. Poemat stanowi w dużym stopniu gawędę chłopską. O zdarzeniach opowiada w podobny sposób, w jaki wiejscy opowiadacze mówią wieczorami o rzeczach znanych, lub zasłyszanych od starszych. Styl gawędy jest tutaj inspirowany poetycko, organizowany świadomie przez autora. Obok ogólnikowych sentencji ludowych, wyrażających t. zw. chłopską filozofię w odniesieniu do życia i podziału ludzi na panów i chłopów, poemat wyraża śmiało rewolucyjną ideologię, która mimo dużej dozy mistycyzmu i niezgrabności w tamtych warunkach religijności, była na swój czas kierunkiem skrajnie postępowym. Zasadą autora poematu jest właśnie ideologiczne naświetlenie opisywanej epoki z punktu widzenia rewolucyjno-społecznej dialektyki historycznej.

Postać ks. Ściegiennego przedstawiona została w poemacie, nie jako indywidualistycznie wybijająca osobowość, ale jako wybitna jednostka chłopska, człowiek silnie związany ze swą klasą społeczną i walce o wyzwolenie tej klasy poświęcający się całkowicie. Bohatera widzimy tu w pracy uświadamiającej i organizacyjnej, bez psychologicznej samoudrętki, na którą tak często autorzy skazują opisywane postacie. Na tle społecznych wypadków widzimy człowieka prawdziwego, którego poczynania związane są przyczynowo z tym tłem, wypływają z niego i z kolei go kształtują.

Epicko gawędziarski styl poematu, potrafił autor ożywić rytmem wartkim i czytelnym. Regularna, dwunastogłoskowa miara wiersza wzbogacił poeta zdobyciami najnowszej wierszokształtacji, w postaci oryginalnych rymów i asonansów. Poemat ten jako niewątpliwie poczynny wśród spragnionych prawdziwie ludowej epiki poetyckiej, mas wiejskich czytelników, przysposobi ich przez to i zaprawi w czytaniu innej, trudniejszej poezji. Zasługuje on na wyróżnienie nie tylko jako ambitna próba poetyckiej epiki, ale i jako cenny dokument literacki tak ważnego momentu rewolucyjnego w społecznej przeszłości wsi. Dokumentem tych nie mamy w naszej literaturze wiele, a poemat Skonecznego jest pierwszym w swoim rodzaju. Działaczowi chłopskiemu, awansującemu chłopu powie on w jakim to trudzie i uciemiężeniu rozdziła się chłopska myśl wyzwolenicza i jak trzeba cenić i strzec wolności, którą wspólnie z klasą robotniczą chłop narzecz wywalczyli. Uprzymiśni on im, że walka o wyzwolenie klasowe nie została jeszcze całkowicie ukończona, że miejsce szlachetkich dworów zajęły na wsi kulackie zagrody, jak tamte będące ostoją społecznej reakcji. Ta książka naprawdę nie zbłądzi, ale trafi pod strzechy i nie pod strzechy, ale pod dachy blachy, lub dachówką, kryte.

Pisarzom, którzy do niedawna wiedli spory o rację poezji epickiej i poezji ludowej, wskaże możliwości i drogi twórcze.

Przy następnym wydaniu, nie powinno się zaniedbać tak ważnej przy tego rodzaju utworach, przedmowy, omówienia krytycznego, wprowadzającego czytelnika w opisywane zagadnienie. Wiadomo przecież, że wielce rzeczy autor nie jest w stanie literacko wytłumaczyć.

Bronisław Chęciński

*) Stanisław Skoneczny „Plebana z Chodla”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1950.

Był to rok 1912. Po wręczeniu jednego rubla mało widzącemu na oczy i zapitemu urzędnikowi carskiemu na granicy rosyjsko-austriackiej w Bełcu pod Tomaszowem lubelskim i po wręczeniu drugiego rubla cesarsko-królewskiemu urzędnikowi po drugiej stronie granicy, już śmiało z tobolekiem przewieszonym na kiju przez ramię, wędrowałem, zostawiając za sobą imperium carskie a maszerując w teren cesarsko-królewski.

Mój Łaszczów, gdzie polykałem każdą książkę z tamtejszej skromnej biblioteki po ciężkiej pracy całonocnej przy murarce lub przy kopaniu stawów rybnych dla hrabiego Szeptyckiego, pozostał tam daleko w kącie powiatu tomaszowskiego. Szły jednak za mną sumy tych wysokich topól ponad drogą, przy których także pasłem na postronku jedną krowę, jaką mieliśmy i szły za mną poszumy krzewów, sitowia i różnych porostów z wielkiego stawu Nadoleckiego. Zdawało mi się też, że słyszę piosenki dziewcząt i kobiet, śpiewane tam zawsze podczas żniw i jesienią przy kopaniu ziemniaków.

W Bełcu widziałem po raz pierwszy w życiu szynę kolejową i pociąg i wcale to nie była taka „droga żelazna“, o której mówiono w Łaszczowie, tylko szynę przymocowaną do podkładów, po których posuwają się kółka wagonów.

Pamiętam dobrze jak mnie matula napominała: Pamiętaj, synku, i strzeż się, żeby cię gdzie nie okradli albo nie złapali na krew do maców. Dlatego też przez całą drogę strzegłem się i pomimo tego, że mnie ciągnęli inni za rękaw gdy wysiadalem z pociągu w Oświęcimie, gdzie z daleka widoczny był napis na dużym budynku: Zofia Biesiadecka Agencja Okrętowa, nie bardzo wierzyłem, że to już tu. Długo trwało zanim rozwinąłem węzelek z pieniędzmi zaszyty przez matulę pod pachą na tak zwaną szyfartę.

W tym domu Biesiadeckiej było dużo ludzi. Siedzieli na ławach, drżeli na podłodze z węzłkami i tłumkami pod głową, a jak kto się ocukał to zaraz macał tam, gdzie miał schowane parę groszy, bo przy ładowaniu w Ameryce trzeba było pokazać pewną sumę pieniędzy na pierwsze potrzeby życiowe.

Kraj niemiecki przejechałem prawie cały nocą. Na postoju w Berlinie ktoś do wagonów przez okno wołał — Na kawę. Na kawę! Wyszliśmy wszyscy do jakiejś podziemnej restauracji, gdzie już kawa była gotowa na długich stołach. Ale cóż z tego, od pierwszego z bręga zażądano zapłaty za kawę, wszyscyśmy wstali i uciekli z powrotem do wagonów, a za nami leciały jakieś niemieckie przekleństwa i złorzeczenia.

— Na swój „Lapland“ do New Yorku czekałem w portowym belgijskim mieście przez pięć dni z rzędu. Trzymali nas w jakiejś dziurze, gdzie spaliliśmy na cuchnących i brudnych tapczanach. Dla rozrywki, kto odważniejszy, włożyliśmy się po mieście i koło portu.

Traktowanie nas jadących po „złote runo“ do Ameryki było po prostu nieludzkie. Włoczono nas pod pokład na przedni dziób okrętu, wszystkich do jednego przedziału. Łóżka tam były piętrowe w rodzaju sieci na ryby, bez poduszki i pościeli tylko z cuchnącym, brudnym i podartym kocem. Prawie każdy chorował naorską chorobę. Większość czasu spędzałem na pokładzie, zimne wieczory zapędzały mnie do tej nory pod pokładem, wyglądającej jak wielki chlew i do narzekających naorską chorobę ludzi.

Był tam Polacy, Węgrzy, Rumuni, Serbowie, Macedończycy i inni południowi słowianie. Obsługa na statku była niemiecka.

Oparty o breg pokładu, w słoneczne i pogodne dni, bo „Lapland“ szedł aż osiem dni, wpatrzony w przestrzenie wód, wyjmowałem małą organkę i rzepoliłem swoje krajowe z okolic Łaszczowa melodie. Zdawało mi się czasami, że nie jesteśmy na okręcie i na morzu, ale patrz na rzekę Chuczwę w Łaszczowie z wędką w ręku, a przy mnie na murawie rozłożył się nasz żółty Mordka, mój towarzysz wierny, który nawet i wtedy mnie nie opuszczał, gdy ojciec raz za ogórki pani Bukowskiej, pociągnął mnie za uszy.

Był słoneczny dzień. Większość jadących po „złote runo“ do Ameryki już się wychorowała. Pokład był zaścieniony ludźmi jak mrowisko mrowkami. Morze było spokojne, tylko małymi falami jakby drgało, czub okrętu pruć wodę, czasem jakaś większa ryba pokazała swój grzbiet, a białe ptaki morskie za każdym razem, gdy ktoś coś do wody wrzucił, lub gdy jakieś odpadki rurą z kuchni wyrzucono, nagle upadały na wodę i wydzierały sobie smaczniejsze kąski.

— O! O! — Ktoś krzyknął na przeciwną stronę pokładu — O! O! Ameryka!

Kto żył zerwał się i wszyscy pobiegli na tamtą stronę pokładu. Niektórzy zaczęli się cofać, bojąc się, że okręt się przewróci. Gdzieś daleko zarysował się jakiś cień. Im dłużej patrzyliśmy, tym wyraźniej zaczęły się uwidocznić drzewa a potem czerwone dachy domów. Była to wyspa Long Island (Długa Wyspa) obwołana na pokładzie Kasegardą, chociaż kasegardą nazywają Ellis Island (Wyspa Łez), przez którą każdy emigrant musi przejść, gdy ląduje w porcie New York. Tu raz jeszcze trzeba było pokazać stan oczu, nieco dolarów, poczem przyczepili ci dużą kartę przy kła-

pie marynarki, ze wskazówką na którą linię kolejową jesteś przeznaczony. Dali ci za dolara w papierowej torbie kilka bananów, jakieś kiełbasy, nieco chleba i małym statkiem rozwozili na miejsce przeznaczenia.

Ktoś z emigrantów powiedział żeby tej kiełbasy nie jeść, bo jest końska. Końska, czy nie końska, jeden po drugim ciskał ją do wody ze statku, a następnie oknami z pociągu.

Ta słynna Wyspa Łez, to kilka dużych budynków ze sobą połączonych, stojących jakby na morzu, bo nie ma dookoła nich skrawka ziemi. Tędy miliony emigrantów przechodziły z nadziejami znalezienia na tej nowej ziemi pracy, chleba, wolności, domu, a nawet szybkiego i wielkiego wzbogacenia się. Sny, złote sny o kraju wszelkich możliwości, kazały mnie i milionom innych znosić bez protestu chlew poczekalni w Antwerpii i nore cuchnącą pod pokładem „Laplandu“. Za to wszystko miała nam zapłacić przyszłość beztrojską, miodem i mlekiem opływająca na ziemi amerykańskiej.

A już to takich jak ja, sądziło, że powróci do starego kraju już nie z tłumoczkami na kiju przewieszonym przez ramię i nie z kilkoma groszami zaszytymi pod pachą, ale z wielką walizką wypchaną dolarami. Od lakierów i jedwabów będziemy śnić z daleka. W samej Warszawie albo Krakowie wielką kamienicę mieć będziemy, albo jeden z dużych folwarków i będziemy panami całą gębą.

Tak większość marzyła, przechodząc przez bramy Ellis Island w New Yorku. Większość marzycieli nie przeszła z powrotem tych bram. Gdy będziecie kiedyś podróżować po górzystym stanie Pennsylvania, West Virginia, Kentucky, Ohio, Illinois i innych stanach, gdy będziecie jechać koleją to wiedcie o tym, że szynę po których kursują pociągi zostały wydobyte z kopalni rękami emigrantów, surowiec ten został wrzucony do pieców zięjących żarem ognia, rękami emigrantów, oczy na wierzch emigrantów wylażyły nad taczkami dygującymi do tysiąca kilo surowca do pieców. Rękami emigrantów te szynę zostały wyciągnięte w Pittsburghu i Yongstona piekło stalowni Carnegiego. Gdy będziecie w różnych stanach unii jechać samochodem czy wozem, wiedcie, że grunt pod te drogi poprzez góry, przez skały przygotowały kilofami dłonie emigrantów.

Widzicie tam uprawne i urodzajne pola. To ręce emigrantów rąbały lasy, karczowały pnie, przeorywały pierwsze ugory. Prawda, piękna jest kanalizacja. To kilofy i szpady w rękach emigrantów ryły doły na kanalizację. Gdy podróżujecie wijąc się drogą pomiędzy wzgórzami, zobaczysz gdzieś na zboczu stary, zaniedbany cmentarz. Wejdź tam. Być może mogły już czas zniekształcić, krzyże i nagrobki pochylone, a może ich już nie ma. Nikt ci nie powie, że akurat tu lub tam, ten i ten spoczywa, ale wiedz, że leży tu wielu Skibów, Tomczaków i Szymczaków z nad Wisły, Sanu, Pilicy i Wieprza. Leży tu wielu Słowiczów z nad Sawy i Morcy, Nagych z nad Dunaju, Tytułców z nad dorzecza Dunaju i wielu, wielu innych. Nad jednym skłębem w kopalni się oberwała, innego walcownia w stalowni pochwyliła, innego ziemia przy kanalizacji zawałiła, jeszcze innego wagon pędzący z naładowanym materiałem zabił.

Trudno. Kraj nowy, trzeba go budować, a szczególnie Wall ulice, wyżej i coraz wyżej. To kraj marzeń, kraj wszelkich możliwości dla wszystkich. Patrzcie, Jan Smółski w Chicago został „polskim milionerem“.

Inni a tych było więcej, mieli inne losy. Jeśli będziecie w dni kryzysu w obrębie wielkich miast, takich jak Cleveland, Minneapolis, Milwaukee, Buffalo lub w purytańskim Bostonie zajrzyście na śmietniska miejskie, pod wiadukty i mosty kolejowe i gościncowe, zobaczycie tam inne, drugie miasta. Pałace tych miast są wzniesione z tektury, starej blachy, potamanych rur wodociagowych, desek i papieru. W tych pałacach wylegają się marzyciele. Coż z tego, że pracowali długie lata, mieli dom, nawet auto, mieli radio, lodówkę i meble. Wszystko, o czym marzyli. Przyszli kryzys, za kilkanaście dolarów sprzedali auto, gdy te dolary zjedli, sprzedali radio i lodówkę. To prawda, że mieli dom i ładne meble, ale dom do nich nie należał, już niewiele, ot, kilkanaście dolarów trzeba było dopłacić miesięcznymi wypłatami bankierowi do tych kilku tysięcy, które już płacili. Tak samo z meblami, jeszcze kilka miesięcy i już byłoby wypłacone handlarzowi. Kryzys przeskodził, bankier zabrał dom, co wpłacone — przepada.

Nie zapominaj jednak głodomorze „mieszkający“ na śmietniku miejskim, że jesteście w kraju wszelkich możliwości, jak tylko po bezrobociu pracę dostaniecie, możecie znowu na raty ten sam dom nabyć, te same meble, placąc od nowa pełną cenę za nie, nie sądz przy tem, że cię tu ktoś okradł albo skrzywdził, a przy tym bądź grzeczny i geby za szeroko nie otwieraj bo jest komisja od spraw antyamerykańskich. Chyba wiesz, co to znaczy.

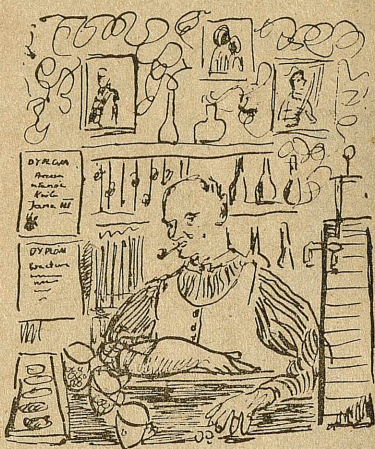
Powiedziało mi się młmo woli, że mało kto z marzycieli powracal przed bramy domu na Ellis Island. Nie tak znowu mało takich było. Marzyciel kuł w kopalni, dzwigał żelazo do pieców, kładł szynę kolejową, kładł drogi, budował kanały, skóre ścięła na biodrach przy ła-

SEWERYN SKULSKI

PO „ZŁOTE RUNO“

dowaniu i wyladowaniu towarów na dokach, rył ugory ziemi amerykańskiej, po dwanaście godzin orał w odlewniach, rzeźniach, tkalniach, fabrykach obuwi i krawcowniach, stolarniach, hutach, garbarniach i śleczył nad pasem transmisyjnym u Forda, Packarda, Cadillac, Studebaker i Chevroleta. Marzyciel marzył, śnił, pracował i spał, spał pracował, śnił i marzył i ani się obejrzał, lata uleciały a tu nawet w setnym milionowym procencie nie jest jeszcze Morganem pomimo takiej sumiennej oszczędności.

Marzyciel począł teraz myśleć — co, jak, kiedy, gdzie? Sam jeszcze



rys. Stefan Gierowski

nie wiedział co, ale go coś poczęło interesować. Gdy był młody i zdrowy a marzeń o złotym jutrze miał wiele, żaden gaduła na rogu ulicy nie interesował go. Prawda, że i dawniej czasem przystanął, po-

siyszał jakieś niezrozumiałe słowa o kapitalizmie, socjalizmie, machnął ręką i szedł dalej. Teraz gdy już rzeki potu ze siebie wylał, nie na jednej szynie i nie na jednej grudzi węgla krew swoją zostawił, gdy już połowa jego siły i zdrowia pozostała w sztabach złota banku Morganowego, poczuł nareszcie, że on ma tu jakieś prawo, że on jest budowniczym tego kraju wszelkich możliwości. Począł go teraz interesować ten socjalistyczny krzykacz na rogu ulicy co pięścią kapitalistom wygrażał. Marzyciel doszedł do przekonania, że to jednak nie taki sobie błąd, choć na skrzynce od mydła stoł. Marzyciel począł się interesować, kto bije go i wyzykuje, co to jest unia, jak się organizować, co to jest partia, walka klasowa i wiele innych ciekawych rzeczy, marzyciel z dnia na dzień dowiadywał się. Doszło do tego, że sam począł brać udział w ruchu robotniczym, a chociaż wielu spraw jeszcze nie rozumiał, dowiedział się, że jest członkiem klasy robotniczej i o całość interesów klasy robotniczej musi walczyć. To nań zwróciło uwagę fabrykantów, bankierów i policji, która aczkolwiek płatna funduszami ogółu, a więc w większości funduszami ludu pracy, przeciw służy tylko tym, którzy mają dużo, a nie tym stojącym ze sznurowadłami w kapeluszach.

Teraz marzyciel stał się niebezpiecznym. Którejś nocy przyszli do jego mieszkania, zabrali go i zawieźli na Ellis Island a stamtąd wsadzili na pierwszy okręt, który odchodził do jego rodzinnego kraju i deportowali.

Nie to, że protestował, że wołał, że przepracował tam lat 20, że tam zdrowie młodość, pot i krew zosta-

wił, że tam tyle gmachów zbudował, drogę i góry węgla wydobyl, że tysiące arów ziemi pod kukurydzą zorał, że jego płuca, wzrok tam w cementowniach zostały. Powiedzieli mu tylko — Move on reed (precz czerwony) i tak się go pozbyli.

Nie, Ellis Island nie na wodach Hudsonu i zatoki New Yorkskiej stoi, ale na łożach krzywdy ludzkiej bezkompromisowej Wall ulicy. Siuszenie też Wyspą Łez się nazywa.

Od New Yorku do powiatowego miasta, Mansfield, w stanie Ohio jest kawał drogi. Pociąg kompanii Lłmii kolejowej „Erie“ wioził mnie całą dobę. Mineliśmy dziesiątki miast i miasteczek i o dziwo, każde do siebie podobne. Wszędzie napisy i ogłoszenia. Na fabrykach napisy, na kominach, na ścianach domów, na parkanach i na specjalnych dużych tablicach. Dopiero po latach dowiedziałem się, że w Ameryce więcej warte ogłoszenie od towaru.

Byłem młody i krzepki, gdy drugiego dnia rano po przyjeździe do Mansfield znalazłem się pod fabryką „Ohio Brass Co.“ zaraz jakiś człowiek chudy jak śmierć a długi jak tyczka, wyszedł przed budynek i kiwnął na mnie. Był to pierwszy mój boss w Ameryce. Poklepał mnie po ramieniu i pokazał mi, co mam robić. Był krzykliwy i zły, nazywał się Frank Hey, czyli Franciszek Siano. Stale nosił gwizdek w zębach, a gdy gwizdał, to każdy się ogładał czy jego nie woła. Mówić ani wołać nie można było, tak piec z roztopiającym się mosiadzem dudniał i chuchał. Ja pomagałem giserom wylewać roztopiony mosiadz do form. Była to ciężka praca, sam garnek wylepio-

ny ogniotrwałą masą z narzędziem, w które garnek wkładano, ważył około 50 kilo, po napełnieniu go mosiadzem ważył do 60 kilo. Nie raz ogień prysnął i metal palil ubranie i obuwie a nieraz wypalił ranę na twarzy. Bez rękawic pracować nie można było, a kamazie trzeba było nosić z gumą nie sznurowadłami, bo jak czerwony metal upadł za cholewkę kamazsa, to trzeba było natychmiast kamazse zdejmować.

Nosząc ten metal pół roku, palce moje przybrały wygląd piaski a skóra na dloniach stwardniała mi jak podszwa buta. Do roztopionego metalu przed odlewem dodawali jakiś biały proszek, ponoc w celu oczyszczenia metalu, proszek syczał, buchał białym dymem, który gryzł w nozdrza. Im dłużej się pracowało, tym większy ciężar czuło się w piersi i coraz trudniej było oddychać. Raz powiedziałem bossowi, że pójdę szukać innej pracy, jeżeli mi na miejscu nie da innej. Dał mi pracę gisera. Jako giser zarabiałem więcej. Była to jednak ciężka praca.

To giserstwo jakoś mi nie gustowało, poza tym ciasno mi było w tej mieście. Gdy zaprenumerowałem gazetę polską, dowiedziałem się, że w Detroit, Cleveland, w Toledo i innych miastach jest żywsze polskie życie. Są różne organizacje, wiece, zebrania. Dlatego przeniosłem się do miasta Detroit, gdzie znalazłem pracę w spryn-gowni. Robiliśmy siedzenia do samochodów Forda. Tam wieczorami, po pracy w niedzielę i przy świętach, począłem kłócić wiersze i korespondencje do gazet a między innymi do Detroitkiej „Muchy“ — pisma satyryczno-humorystycznego wydawanego przez Łukasika. Lu-

MADELEINE RIFFAUT (Francja)

SKRZYDŁA BIAŁYCH GOŁĘBI

I oto teraz jest on tak bogaty, jak pozłacany obraz. Poranny wiatr niesie z daleka u podnóża portu małą ciepłą jego okaleczonego ciała. Nie będzie mógł służyć więcej niczemu: ani wiosnie, ni swemu domowi, ani swemu ciału, które ma dwadzieścia lat.

„Dla niego tylko śmierć!“ I złamano go.

Wiatr, morze i gwiazdy kołyszą obraz, co rozdziera serce.

Jest wiatr i morze i gwiazdy...
Mają swych topielców i miłość i morze.
Mówią, że wczoraj na wodach Vietnamu
Błkitny krążownik wyleciał w przestworza.

Jest wiatr i morze i gwiazdy...
Kto cię wczoraj, miłości, zakopał pod ziemię?
Czy to morze, czy wojna?
Wszystkie dni pozostają nieme.

Mówią, że utopieni marynarze
W kanałach, których brzegi ryżem obsadzono,
Znajdują jakieś małe, zabłąkane listy,
Rzucane w porcie przez ich młode żony.

Zielone butelki i martwe już czoła...
Miłość ma tylko jedną: swą ojczystą zorrę.
W głębi morza poległ żołnierz
Maja jednakie gesty i jednakie łoża.

Mgła w portach zmieszana jest z krwią. Krwia, która kłębi się i wrze, prowadząc do szturmu na wielkie schody i korytarze banków pley czerwonych gromad.

ZAMKNIJCIĘ BRAMY MORZA!
— Kiedy wczoraj wieczorem zrzucano go ze statku, cisza stała między tłumem, a nim, a później rozszerzyła się, rozrosła ceną ludzkiej krwi.

Ale jego matka, cała w czerni, przebita dwudziestoma sztyletami, zaczęła krzyczeć. Wówczas tłum krzychał i huczał: „Wszystkich się nas uśmiercił!“ „A morze w czasie odpływu fala za falą szumiała: „Za nic, za nic!“ I odpłynęło.

ZAMKNIJCIĘ BRAMY MORZA!
Przeplęwały przed jego oczyma sny o pożarach, czerwonych polach ryżu, o straconych ptakach - dziewczętach. Chciałby schować sam siebie. Ale naprośnie szukał swoich ramion. Bo złamano go. „Dla niego tylko śmierć!“

Wirowały gwiazdy i morze i wiatr, ciężko dźwigający odrąbane ręce.

Agenci ładowali trumny.
I oto teraz jest on tak bogaty, jak pozłacany obraz. Zginął wtedy, gdy okragłe słońce stawało nad portem. Kolega zwycięzca z drugiej strony świata trzyma go na ręku i podnosi bardzo wysoko, by mu złożyć hołd.

Był to dzień białych gołębi.
Przez nabrzeża maszerował twardy tłum: bezrobotni o „ile bolesnej, jaką daje niedowzajemna miłość. Kobiety, walczące o wiosnę z jej ciałem dojrzałego zboża. Mężczyźni w swoich ramionach, wykutych ze stali nieśli dzieci zielone, jak trawa.
Trzy błkitne traktory, całe stalowe i nowe, zatoczyły koło na brzegu morza na czele pochodu.

ZAMKNIJMY BRAMY MORZA!
— Mamo, Gaspardzie i ty, mój stary towarzyszu François, Jean, Chariot, Marianne, zamknijmy bramy morza! Zamknijmy bramy wojny!

— Jeśli metalowiec nie wykuje broni...! jeśli nie przewiezie jej kolejar...! Jeśli wszyscy żołnierze krzykną: „Dostyc tego!“... Jeśli wszyscy marynarze przyczaję się w portach...

...I rdzewiał orez, rzucony w głębinę. W czarnych pakietach stali i skóry... Cofali się agenci gdzieś w ciemności daleko od portu.

Był to dzień białych gołębi.
„Człowiek oczekający krwią podniósł ramiona ku statkom. I słońce czule dotknęło jego dłoni.

— Towarzysze, my zyskamy...
Życie będzie piękniejsze, niż pozłacane obrazy.
Nadzieja tryskała z morza jak ogromne źródło.
Przed łomami dokerów kobiety rozdzierały chleb.
I morze, które nadpływało, szumiała fala za falą powtarzało fala za falą. Jutro...
— JUTRO... JUTRO... CUDOWNE ŻYCIE.

Tłumaczył Wincenty Jędrkiewicz.

POEZJA WALCZĄCA O POKÓJ

MARCEL BRESLAU (Rumunia)

SZKIC WIERSZA

Zgromadziłyśmy się tutaj ze czterech stron świata
jak ludzie wiejscy, gdy szerry się pożar!
Nie ma obawy — wystarczy nam wody.
Sprawne ruchy ramion, które czerpią wodę,
nie wystarczą jednak, trzeba zniweczyć pożary.

Dawniej małe domy budowano rzadko,
a w ogrodach kwitnęły róże i słowiki.
Dziś zmniejszyła się ziemia. Myśli szybciej płyną.
Gdy tylko sasiadowi zacznie grozić pożar,
cichną słowiki, wiedznią piękne róże.

Jesteśmy dziś bliscy najbardziej dalekim.
Nasze wsie pokrywają całą kulę ziemską.
Twarz moją policzkują w Harlemie, me dzieci
rozstrzelują w Grecji i na brzegach Jang-Tse,
Krew barwi mą skórę białą, żółtą, czarną.

Jakie znaczenie ma kolor naszej skóry,
że jest on biały, żółty albo czarny:
krew ma zawsze jednakową barwę. Niech się ją znów przeleje,
pokryje nowe, wciąż nowe sztachetki,
bardziej czerwone niż jesienne liście.

Jakie znaczenie ma kolor naszego serca,
czy wierzy ono, czy nie — w boga i apostoła,
wtedy gdy serce mówi: jestem z wami,
bo wie, czego pragnie i czego pragną inni,
oczekujący nieba na padole placzu.

Jakie znaczenie ma kolor naszego głodu,
gdy głodujemy po ryżu, po chlebie, po snach
i gdy się chcemy dzielić tym ryżem, tym chlebem i snami
gdy nie chcemy ukryć nic z tego, czego mamy dostatek,
ani najmniejszej miazgi w głębinach snu.

Oto szczytne, codzienne zadanie poezji!
Chcąc wypełnić je tak po prostu,
jak po prostu pracują ci poniżani, których kocham,
niech moje wiersze będą tak ważne jak oni,
szerokie jak rozmach siewcy,
silne jak uderzenia młota.

Przyjaciele, towarzysze, nie ma miejsca dla tych,
którzy wam bronią tańczenia.
Śpiewajcie i niech się wasz śpiew wzniesie
wyżej niż hałas trąb!

Tańczymy bowiem kołem, zgodnie z kierunkiem ziemi
i w rytmie dziejów — i w ręka w rękę.
Zorza polarna ukazuje drogę
ku niebu, skąd wyrwiemy gromy,
aby mogła zaświtać wiosna jutra.

Ziemia jest dziś naszą społeczną ojczyzną.
Potrafimy ją obronić na granicach czasu.
Śmierć kroczy ku śmierci, a życie ku życiu.
Będziemy czuwać nad snem naszych dzieci.

r. 1948

Tłumaczył Wincenty Jędrkiewicz.

DO AMERYKI

kasik zapelniając „Muchę” moimi bazgraninami przez przeszło dwa lata, raz jeden za to zafundował mi szklankę sodowej wody i aby mnie do swojej „Muchy” przylepić, napisał, że jestem redaktorem tego pismka. To wzięli na języki moi znajomi i własny brat i na ulicy sobie dla żartu, a mnie dla dogryzienia, poczęli mnie tytułować panem redaktorem. Kto to słyszał, patrzył na mnie — młokosa i bez wątpienia wyśłał: — Patrzcie, jaki mi pan redaktor!

W Detroit mieszkało wtedy ponad 60 tysięcy ludności polskiej. Dzielił się na „moskalofilów” i „pruseofilów”. Pierwsi mieli „Rekord Codzienny” pismo nader poważne, a drudzy „Dziennik Polski”. Mieli osobne sale zebrań bo w Domu Polskim przy Forest ulicy, każdy wiec bywał rozbijany przez przeciwników. Jedni i drudzy mieli się za jądrowość i patriotyzmu a naprawdę wodzowie jednych i drugich byli tylko łapichłopami.

Były to gorące czasy „budowania” Polski, a wielkie żniwa dla łapichłopstwa. Łapichłopi kupili stare pudło przeznaczone do zatopienia, kadłub odmalowali, napisali szumnie „Kościuszkę” i sprzedawali akcje na polską linię okrętową. Organizowano akcyjną spółkę szewców, którzy nigdy szewcami nie byli, a mieli uczyć warszawskich szewców jak się buty robi. Organizowali „mechaników” z piekarni i czeladników garbarskich. Spółka ta miała Polskę fabrykami zabudowaną. Była nawet spółka akcyjna do sprawadzania grzybów z Polski i kminu do kiszenia ogórków. Gdy na jakimś wiecu tych „korporacji i spółek” spróbo-

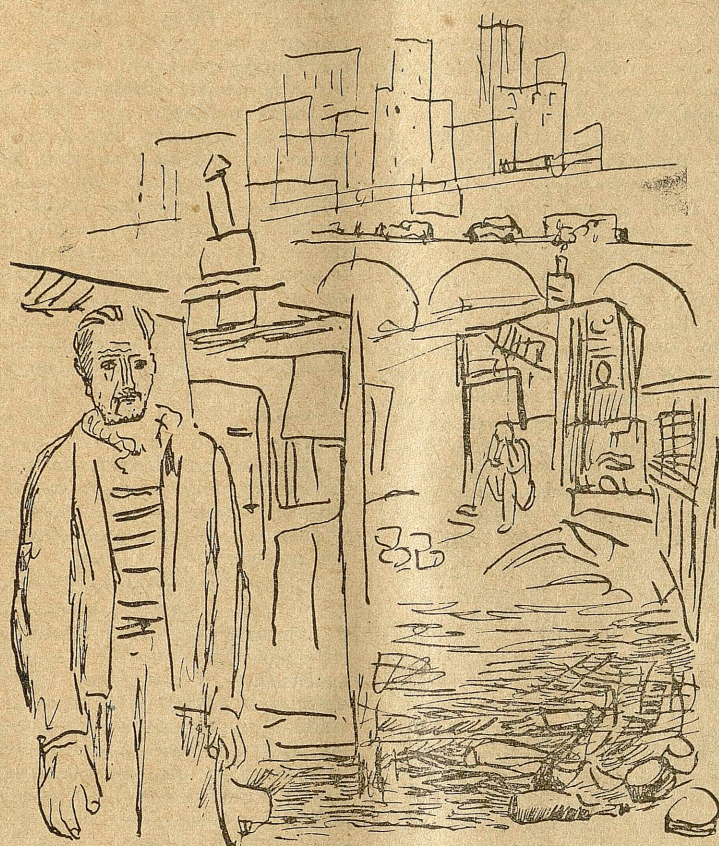
wałeś się sprzeciwić lub wskazać zebranym rodakom na łapichłopski charakter i cel łapichłopstwa, zaraz cię bolszewikiem okrzyknano.

Jak kler polski mógł zdzierać maskę obłudy z łapichłopstwa, kiedy sam jest przyczyną jeszcze większego wyzysku naszej emigracji. Wiadomo, że w tych Stanach Nie Bardzo Zjednoczonych jest ponad 800 parafii polsko-rzymsko-katolickich. To znaczy tyleż największych, najwyższych kościołów zbudowała krwawica nasza. Ale nie tylko kościołów, tyleż plebanii, pałaców po 20 pokoi i prawie tyleż „polskich” szkół. Gdy Polacy zakładają parafie, to bez bojaźni o kapitał, biskup przeważnie hakata Niemiec, daje tyle dolarów, aby starczyło na największy kościół w mieście. Trzeba 100 tysięcy dolarów — daje. Trzeba 200 tysięcy dolarów — daje. Ale robi to nie na ślepo. Plac, ziemię, kościół, plebanie i „polską” szkołę zapisuje na siebie, a Polacy tylko spłacają procenta od pożyczki. Są „polskie” kościoły stojące po lat 50. Gdybyśmy wzięli pod olówek procenty spłacone po 6 od sta, to procenta już przeniosły pożyczki a mimo to kościół, szkoła i plebania nie są własnością parafian.

Na tym tle dochodziło do niezadowolonych i buntów. W takich razach biskup nasyłał policję i z „polskiego” kościoła palami wyganiano rodaków za ich długoletnią krwawicę, aż krew obryzgała stopnie kościoła. Nie każdy z naszych rodaków, marzycieli, jadący pod pokładem okrętu po złote runo do Ameryki, w dniach kryzysu szedł mieszkając na śmietniska miejskie i pod wiadukty i mosty. Dla wielu szczęście się uśmiechnęło. Onufry Dyr-

da założył knajpę, gdzie nad długim barem pije się na rozgrzewkę. Na ścianie zawieszili podobizny Kościuszki i Puławskiego a nieco dalej Matkę Boską Częstochowską. Obok knajpy miał salkę na posiedzenia, zabawy, wesela i inne okazje. Maciej Gebała założył z drugiej strony „polskiego” kościoła drugą taką samą knajpkę. Walenty Kicha i

Leży przede mną „U.S. News and World Report” organ przemysłowców i finansistów amerykańskich. W tygodniku tym w numerze na dzień 16-go lipca 1950 r. jest zdjęcie członków najwyższego sądu U. S. A. Sąd ten orzekł, że dłużej w Stanach Zjednoczonych nie może być obywateli drugiej klasy. Orzeczeń tego sądu na „ręcz murzy-



rys. Stefan Gierowski

NORMAN ROSTEN
(Stany Zjednoczone)

W SAN FRANCISCO

Nieruchome są Złote Wrota.
Na oceanie — martwa fala.

Wiat gwizdże w podcieniach składów,
Mosty nad zalewem podniesione są ku gwiazdom,
Poranna mgła pokrywa miasto.
Nad wodą kołysząc się, krają czajki.

Pikieta marynarzy stała do świtu
Na nadbrzeżu, ziębnąć we mgle,
Podniósłszy wysoko wytarty sztandar,
Patrzyli na krążące czajki...

— Dobrze by było napisać na skrzydłach ptaka:
„Marynarze wszystkich krajów, łączcie się!”
I puścić go, aby leciał po całym świecie.
I oto naraz wstrząśnięty tłum strakujących
Odpowiedział nam przyjacielskim śmiechem,
Unoszącym się głucho nad martwym zalewem.

Tłumaczył Andrzej Jasiński

TE-HL-CZEN
(Korea)

RĘCE PRECZ OD KOREI!

Nad miastem — mgła postrzępiona.
Ciemno. Nie widać nic o krok,
A chaty drapieżnymi szpony
Ciśnię ku ziemi mrok.
Drżą wyleknione drzewa
I jest szczelina w murze,
Jak paszcza wieloryba, gdy ziewa...
Wtem głośny wystrzał zatrząsł ciszą,
Blask przeciął czuwającą noc
I jako krew, gdy tryska z rany,
Zalewa, rwie na strzępy mrok.
Port Je-Su. A w porcie powstanie.
I ku niebu czarnemu jak węgiel,
Jak ostrzegawcze okrzyki,
Krwia koreańska uświęcone,
Wielekroć razy wymodlone
Płyną sztandary Republiki.
I tłumy wrogów dolarowych,
Tłumy handlarzy niewolników,
Co z pierśi naszej krew chcą wytoczyć,
Nie powstrzymają ludu Korei,
Który lawiną naprzód się toczy
I pokój niesie swej ziemi.
Powstań i słuchaj: my nie wierzymy
Sile i mocy olowiu,
Co burzy miasta, niszczy człowieka.
Płomieniem zemsty Korea płonie
I tętni, tętni i tętni w sercach,
Na sygnał czeka.
Oto już słychać zewsząd wołanie
I w słonej mgle krzyk jak wiatr wieje:
„OBCE RĘCE PRECZ OD KOREI!”

Z czeskiego przekładu Kseni Havikowej-Birulowej tłumaczył Wincenty Jędrkiewicz.

Bartłomiej Golas, podobne założyli. Teraz idzie gra o to, który z nich ma największe rodaków do swego baru przyciągnąć. Mister Dyrdy w tym celu jest prezesem Ułanów króla Jana Sobieskiego, prezesem kościelnego towarzystwa św. Koski Stanisława i Jakuba. Mister Gebała jest prezesem Krakusów, prezesem gniazda Sokołów, Tow. św. Macieja, Onufrego i Pafnucego. Kicha i Golas także są wodzami innych rycerzy, jakiejś artylerii lub konnicy i tego i owego towarzystwa kościelnego. Jeżeli Dyrdyżyna zostaje prezeską Matek Różańcowych, to Gebała prezeską św. Różańca, a Kichowa na pewno prezeską Towarzystwa od nawracania na wiarę chrześcijańską Murzynów w Afryce, a Golasowa prezeską Towarzystwa Błagających o Lekką Śmierć.

Przez długie lata mogłeś w salonach-knajpach Dyrdy, Gebały, Kichy i Golas widzieć szeroko nasza bracia lokciami rozpartą na barach, ściskającą szklankę w rękach i kielichy a śpiewającą: „Jeszcze Polska nie zginęła” albo takie swojskie wyrwy — „Wlazła Kaśka na chałupę i wypięła na nas język...” Szczególnie przed każdymi wyborami było tam rojno i gwarowo. Politykerzy republikańscy i demokratyczni przychodzili, poklepywali naszych chłopów po ramionach a Dyrdy, Gebała, Kicha i Golas nalewali, a nalewali.

Obecnie zmieniło się nieco. Ale jeszcze nie tak dawno, przed pierwszą wojną światową, moralnymi i umysłowymi wodzami każdej osady polskiej byli Dyrdowie i Kichy. Gdy jakiś „czarownik” pokazał się gdzieś na jakiejś salce nie przy knajpie i poczęł herezję głosić, zaraz Mister Dyrdy lub Kicha zjawiał się ze swoimi rycerzami, Ułanami Króla Sobieskiego lub Dragonami Królewskimi na czele z Kichą w galowym mundurze i jak takiemu czerwoniakowi dali pieprzu, to więcej do ich osady nosa nie wsadzili.

Czasem w dzielnicy polskiej widziałeś takie napisy: „Milczarnia Polska”, „Pikarnia Polska”, „Bucznia Polska”, „Grocarnia Polska”. To także ci, do których uśmiechnęło się szczęście. To nie-lizni nasi dobrokiewicz, którzy w dłuższych dniach kryzysu także zostawali „jak turecy święci”.

Do bardzo wielkiej ilości naszych marzycieli, jeszcze inaczej szczęście się uśmiechnęło. Wiadomo — Polak kocha ziemię. Po długich latach w kopalniach, odlewniach, rzeczniach, lasach i dokach, szedł nasz rodak po utracie młodości i zdrowia „uniezależnić się” na farmie. Amerykański farmer, Yankee, gospodaruje na wschodzie, dopóki ziemia jako tako rodzi. Gdy już wyjąłowana rodzic przestaje zadużać się a następnie ucieka do miasta lub na środkowy zachód. Amerykański farmer ziemi gnojem nie paskudzi.

Na opuszczone farmy szedł nasz rodak, część zaległych długów zaraz bankierowi spłacał a resztę ratami. Marzyciele nasi poczęli „ziemię gnojem paskudzić” i jakoś im szło. Borykając się doprowadzili opuszczone farmy do stanu możliwej produkcji. Jednak śmierć dopiero przeważnie ich uniezależniała bo bankier, gdy raz położył swoją łapę, nie łatwo ją zdejmie.

nów” już było kilkanaście i co kilka lat powtarza się to samo. Teraz znów prawdopodobnie chodzi tu o krew murzynów dla powiększenia milionów białych panów, fabrykantów, bankierów i przemysłowców w nowej rezi światowej.

Pod stacją kolejową podjeżdżają Packard, Cadillac, i De Sota, ze śniących limuzyn wysiadają dobrze odżywieni i elegancko ubrani panowie, ich żony i całe rodziny. To fabrykanci, bankierzy, przemysłowcy, sędziowie, wyżsi urzędnicy, racketery i gangsterzy. Murzyni chwytają za walizy i dźwigają na peron. Tam czeka na pasażerów elegancki wagon sypialny z kuchenną obsługą, Pullmana. Pociąg za chwilę ruszy i będzie zdażał na słoneczne południe ku Nowemu Orleansowi. W tym wagonie nie będzie podziału ras. Nawet murzyn może wejść do Pullmana ale tylko jako służący w celu obsłużenia białych panów, pań i ich dzieci.

Miałem coś około stu dolarów w kieszeni a poza tym żyłkę poznania kraju. Nabyłem bilet kolejowy w Toledo, Ohio do Peoria Illinois aby tam nabyć bilet na linię kolejową Illinois Central która dochodzi do Nowego Orleansu. Jechałem w wagonie cuchnącym sadzą od parowozu. Skoro pociąg przeszedł rzekę Ohio w Ciceru Illinois, znalazłem się na terytorium stanu Kentucky słynnego „Old Kentucky”, jednej z najstarszych i najlepszych wiosek. Gdy znalazłem się w stanie Tennessee w Union City, małej miejscinie, tam już przychepiono specjalny wagon dla murzynów, tuż za parowozem. Teraz już nie nam, białym pasażerom, których na pullmana nie stać, ale czarnym robotnikom, sadze i dym z parowozu cuchną w wagonie i wiaza w nozdrza. Pociąg żółwym krokiem włókł się wzdłuż stanu Mississippi i przez kawał stanu Louisiany. W New Orleans wysiadłem w nocy i do rana przesiedziałem na stacji.

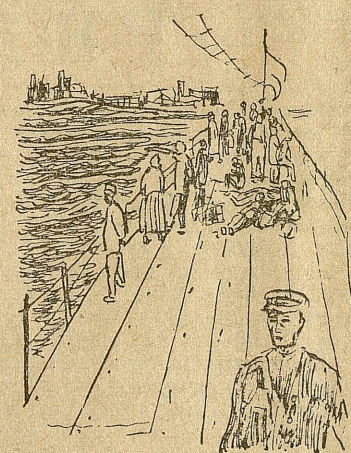
Prawda, że New Orleans jest pięknym miastem, ale tylko dla tych, którzy kieszienie mają wypchanymi kieszeniami lub czekami. Ale poza licznymi hotelami w palmach i kwiatkach, poza pięknymi limuzynami sunącymi poprzez ulice bogaczy kocz domów — pałaców, poza plażą pełną opaskich cielsk z północy, jest tam także dzielnicą nędzy murzyńsko — białej. Podział na gędzę i dostatek jest na południu widoczniejszy niż na północy. Tu na ulicy poznasz kto bankier, kto plantator bawelny a kto obywatel drugiej klasy. Plantator bawelny to typ feudała, buty z długimi cholewami, kapelusz z szerokim rondem i szpicrutą lub nahajką w rękę. Tak nauczył się stać nad murzynami, zbierającymi bawelnę, tak jedzie do New Orleansu i z nahajką chodzi ulicami, pije whisky i piwo i oklaskuje tańczące w kabarecie meksykańskie senioritas miejscowego pochodzenia.

Podczas gdy w portach północnych stanów, banany i inne owoce płynące z południa i kolonii wspiarskich, wyładują dżwigami, tam, na południu w porcie Nowego Orleansu tańsza jest skóra na plecach i na biodrach murzyńskich od dżwigu. Murzyni spoceni taszczą na plecach banany i inne to-

wary a białe pan stoi obok z nahajką w rękę i pokrzykuje: — Hurry up! hurry up!

Na południu murzyn pracujący z całą rodziną u plantatora bawelny, przeciętnie zarabia 200 dolarów rocznie, podczas gdy jego pan w czasie tygodnia za taką sumę cygar wypala. Dla murzynów jest inna poczekalnia na stacji, inny wagon, tramwaj, inna restauracja i inne miejsce na chodniku, inny kościół, inna szkoła, o którą nikt nie dba. Jest inne prawo i nawet cmentarz inny.

Te sto dolarów, jakie miałem w kieszeni, wydałem na bilet kolejowy i przejadłem. Aby uciec ze słonecznego południa, starczyło mi na bilet kolejowy zaledwie do Vicksburga w stanie Missisipi. Tam dowiedziałem się od murzyna, który chciał się dostać do Memphis, że można się dalej na północ dostać bezpłatnie na barce która dopłyne aż do St. Louis, tylko trzeba pomóc w naładowaniu barki czym kapitan każe. Ten kapitan okazał się prawdziwym buldogiem, obiecał nam darmowy przejazd za wypełnienie barki towarami. Pracowaliśmy jak muły a potem statek ciągnął barkę krętym korytem rzeki Missisipi długo i pomalutką, a my byliśmy coraz głodniejsi. Murzyn u murzyna, który kucharował dla „kapitana” wykombinował nieco bananów i pół bochenka białego chleba. Jemy to łapczywie, siedząc pomiędzy pakami w słońcu a tu zastania nam słońce jakiś cień. To mister „kapitan” rozparł się, podpisał się rękami i patrzy oczami osadzonymi w twarzy buldoga. Widocznie przeczuł, czyje to banany i chleb, chwycił czarnucha a buch go do rzeki. Murzyn widocznie umiał pływać, bo wypłynął na powierzchnię i płynął w stronę łodzi, którymi rzeka była porośnięta. Chwycił się ich i widocznie zmęczony odpoczywał. Buldog wtedy wziął go na cel i dwa razy z brzoń strzelił, ale nie trafił, murzyn płynąc od łodzi do łodzi dostał się na przeciwny brzeg stanu Arkansas. Mnie „kapitan” wygnał z barki w miejscinie Grenville stanu Missisipi. Potem znów głodny i bez centa doszedłem torami kolejowymi do miasta Leland. Idąc ulicą, widzę, że przede mną siwy murzyn dźwiga coś w worku na plecach, a małe murzyniaki usiłują mu pomagać z tyłu wspinając się na palce. Ja, mieszkaniec północy, całkiem naturalnie zeszedłem z wąskiego chodnika, ażeby murzyn swobodnie ciężar przemieścić. Nie wiedziałem, że murzyn powinien być zejsz z chodnika, a nie ja. Zaraz na rogu ulicy policjant poczęł mnie legitymować. Słyszając mój koślawy język, zaprowadził mnie na stację policyjną, gdzie przenocowałem. Na drugi dzień gdy dowiedziałem się, czego szukałem na południu, dali mi śniadanie, potem wsadzili do przyczepki motocykla, na któ-



rys. Stefan Gierowski

rym usiadł policjant i pędził przez miasto poza miasto jak szalony, a mnie tylko głowa podskakiwała i kolebała się na wszystkie strony. Za miastem kazał mi z przyczepki wyjść, wyciągnął rękę na północną stronę i powiedział:

— Go to the nord and never try come back to the south again. (Idź na północ i nie próbuj powracać znów na południe)

Postanowiłem coś gdzieś zarobić, ażeby się dowlec do „domu”, do Toledo Ohio. Pytając z kolei o zatrudnienie, dostałem pracę u farmera, jakiegoś fanatyka sekcjarskiego. Po pracy wieczorami i w południe, zawsze czytał biblię, machał rękami na wszystkie strony i stałe pytał mnie czy jestem zbawiony? Pytałem go czy on wie, że w tym stanie Missisipi jest miejscowość Kościuszkę. Powiedział mi, że ta dziwna nazwa miejscowości jest w sąsiednim powiecie, ale dlaczego tak się nazywa, on nie wie.

Po lichym dwutygodniowym zarobku, dostałem się koleją do Herin Illinois stanu już północnego. Tam znów przy kopalni przepracowałem dwa tygodnie.

W Mansfield przez rok dźwigałem w garach roztopiony mosiądz, następnie przez rok pracowałem jako giser. W Gallon ryłem ziemie kilofem pod nową ulicę. W Detroit robiłem siedzenia do aut. W Toledo przez dwa lata operowałem w National Supply Co., ciężki tonowy parowy młot. W Grand Rapids myłem naczyńia kuchenne w wielkim hotelu Morton. W Utica odlewałem jako giser wielkie części do pieców ogrzewających wielkie budynki mieszkaniowe. W Utica przez lat 6 robiłem nici bawelne. W Utica przez lat osiem obsługiwałem w The American Emblem Co., tokarkę i gryzarkę. Tam że pracowałem w cegielni, malo-

wałem domy i pracowałem w piekarniach. W Barberton robiłem pudełka do zapalek. W innym znów miejscu, oakuwałem na młocie medale dla amerykańskich bohaterów pierwszej wojny światowej.

Z roku 1919 na rok 1920 znów zanosilo się na walkę politykierską pomiędzy demokratami i republikanami o stołek prezydenta Stanów Zjednoczonych. Chodziło o to, kto będzie przy żłobie za służenie Wall ulicy. Mr. Palmer będąc wówczas generalnym prokuratorem Stanów Zjednoczonych, chciał na siebie zwrócić czymś uwagę kapitalistów i tak dostać się na kandydaturę na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Zarządził najazd na lokale i domy zamieszkałe przez obcokrajowców, członków Partii Komunistycznej.

Ktorejs nocy grudniowej śpię sobie w najlepsze po pracy w farbowni, a tu wśród nocy wali kilka jednocześnie pięści i nóg do drzwi. Otwieram i nagle widzę kilka ślepych laterek i kilka browningów wycelowanych w moją stronę. Poznaje jednego z detektywów pochodzenia polskiego — Jankiewicza.

Już wiem co to znaczy. Rewizja w całym domu. Szukają wszędzie, w kubelku z węglem, w popiele, w piecu, w materacach. Widzę, że tu nie idzie o literaturę i ulotki, które mieliśmy pod fabrykami rozdawać, chcieliby znaleźć broń, choć taką, którą muchy nie zabije, ale broń, aby był dowód przygotowywania się do obalenia rządu terrorem, siłą. Amerykaninowi detektynowi podobał się duży nóż kuchenny, jaki jest w każdym domu. Rodak detektynów odradził mi włączyć go do dowodów zamachu na rząd. Wybrali najpodobniejsze do mnie zdjęcie, wzięli mnie pod pachy, wsadzili do auta i przywieźli na stację policyjną, gdzie już czekali znajomi towarzysze, rosyjscy, litewscy, ukraińscy i polscy.

Przyszła kolej i na moją egzaminację:

— Czy jesteś członkiem Partii Komunistycznej?

— Tak.

— Czy jesteś sekretarzem polskiego oddziału tej partii?

— Tak.

— Czy szukajecie rewolucję w celu obalenia rządu siłą?

— Nie.

— Jaki nie? Przecież jesteś członkiem partii komunistycznej a zatem wierzyś w program partii. — Tak, wierzę w program i dlatego też pracuję w tym kierunku, aby uświadamiać robotnikom jak i przez kogo są wyzyskiwani i że przez walkę klasową, mogą znieść władzę kapitalistów i zaprowadzić ład, w którym nikt nie byłby wyzyskiwany.

— Kto wam daje fundusze na agitację?

— Klasa robotnicza przez popieranie naszych przedsięwzięć jak wieców, zabaw, składów, apelów o fundusze.

— Czy wiesz, że nie jesteś obywatelem i co ci w tym kraju wolno a co nie?

— Pracuję w tym kraju już długie lata i zdaje mi się, że dość potu i krwi wylałem, ażeby mi coś było wolno.

— Ty możesz tu i tysiąc lat przepracować, a dopóki nie jesteś obywatelem, nie wolno ci decydować, jaki tu ma być rząd. Czy chciałbyś być obywatelem?

— Nikt mi tego nie proponował?

— Czy chciałbyś iść do szkoły języka i praw obywatelskich?

— Uważam, że każda nauka ma swoją wartość.

— Czy wiesz, że czeka się deportacją?

— Jeżeli będę deportowany, to będzie znaczyć, że rząd Stanów Zjednoczonych jest na usługach kapitalistów.

— Czy płacą ci za robotę dla partii?

— Nie.

— Jak długo pracujesz w tej fabryce?

— Cztery lata.

— Czy znasz konstytucję Stanów Zjednoczonych?

— Owszem. W jednym z paragrafów powiedziane jest, że naród tego kraju może siłą rząd obalić i taki ustanowić, jakiego sobie życzy.

— Może i tak. Ale gdy tego zechce większość narodu, a nie kilku komunistów nieobywateli.

— Dużo masz pieniędzy w banku?

— Mam osiem dolarów długu w sklepie spożywczym.

— Powiedz mi szczerą prawdę, czy nie chciałbyś zostać milionerem?

— Chciałem. Już miałem 500 dolarów, ale bank upadł i wszystko przepadło.

— No a teraz powiedz. Gdy zostałbyś obywatelem, to kochałbyś ten kraj?

— Ja go dziś kocham. Kraj piękny, naród dobry, system podziału społecznego jest zły.

— A jak zostałbyś obywatelem, na kogo głosowałbyś podczas wyborów?

— Na komunistów.

— Toś nie komunista. Komunści nie wierzą w głosowanie, ale w siłę i rewolucję.

— Ale wierzą, że przez osiągnięcie władzy będą mieli możność ukazywać masom korupcję i formy jakimi włada kapitali.

— Kto cię tego wszystkiego nauczył?

— Literatura, wiecie, zebrania, dyskusje, klasa robotnicza i sam system kapitalistyczny.

— Czy zabiłbyś człowieka. Na przykład jakiegoś urzędnika i wroga komunistów?

— Nie. Klasa robotnicza walczy (dokończenie na str. 8)

EDMUND NIZIURSKI

NA PRZYKŁAD PLEWA...*)

Wśród książek odznaczonych państwowymi nagrodami w dziedzinie literatury znajdujemy powieść Bogdana Hamery „Na przykład Plewa”. Znaczenie państwowych nagród literackich polega między innymi na tym, że nagrodzone utwory stanowią dla ogółu pisarzy swojego rodzaju doświadczenie twórcze, z którego w dalszej pracy literackiej winni korzystać — pokazują kierunek, w jakim winny zmierzać ich wysiłki.

Dla pisarzy pokolenia inteligentnego, obarczonych spuścizną dwudziestolecia i niewątpliwie wciąż jeszcze nieodpornych na pokusy artystowskie, bliższe i warsztatowo bardziej pouczające będą poszukiwania Brandysa, bledy Wilczka, czy wreszcie próby dojścia do literatury realizmu socjalistycznego przez kwarantannę bezpośrednich studiów terenowych, przez surową terminatorkę w chłopa i robotnika przynoszącą jako pierwszą zdobycz — szkic literacki, reportaż... jak to widzimy u Konwickego i Zalewskiego.

Wydać się natomiast, że z nagrodzonych powieści o współczesnej tematyce sprawie rozświetlenia i wychowania nowych kadr literackich spośród młodzieży robotniczej i chłopskiej, najlepiej przysłużyć się może powieść Bogdana Hamery.

Powieść ta z jednej strony stanowi produkt artystyczny i ideologiczny zdrowy i dojrzały, niedotknięty żadnym „udzielałym się” schorzeniem, na które cierpi większość naszych powojennych pozycji literackich, z drugiej strony przez stosunkowo prostą warsztat artystyczny, jasną koncepcję i konstrukcję — pokazuje najłatwiejszą, najpewniejszą i najkrótszą drogę wiodącą do realizmu socjalistycznego i to w dziedzinie tak zwałowej jak powieść.

Droga ta wskazywać mógł tylko pisarz tak całkowicie pozbawiony balastu dwudziestolecia jak Hamer. Pisarz bez pierwowzoru grzechu naszej powojennej literatury, naleciałości i kompleksów, które zbyt ogólnie nazywamy problematyką inteligentką (a co za tym idzie — bez potrzeby rozrachunków, które tak mało interesują czytelnika robotniczo-chłopskiego i które jak dotychczas nie doprowadziły jeszcze żadnego skruszonego penitenta do nowej literatury).

Jak obce są Hamerze te sprawy wskazuje choćby i ten zmienny fakt, że w książce „Na przykład Plewa” mamy do czynienia z pierwszą powojenną powieścią, zupełnie pozbawioną inteligentnych bohaterów — powieścią, gdzie po raz pierwszy bohaterem w pełnym tego słowa znaczeniu stał się robotnik.

Co więcej, stworzenie takiego bohatera przyszło naszemu debiutantowi stosunkowo łatwo. Cały ładunek ideologiczny, bagaż doświadczeń pisarskich i depozyt wyobraźni zawdzięcza on bowiem już nowej rzeczywistości — o którą sam walczył i z której sam wyrósł.

Postawa Hamery nosi głębokie znamiona humanizmu. Autor pamięta, że w procesie produkcji najważniejszym jest człowiek. Fabule książki stanowi uruchomienie zakładów hutniczych w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu spod okupacji. Prawdziwym jednak tematem jest problem budzenia się i rozwijania świadomości klasowej robotnika Plewy, dorabianie się socjalistycznej postawy wobec pracy i życia. A więc nie powieść o produkcji, lecz powieść o walczeniu o produkcję człowieka.

Zbadamy proces przeobrażenia Plewy. Uwagę naszą zwracają przede wszystkim dwa fakty: przeobrażenie Plewy jest funkcją rewolucyjnych przemian jakie zachodziły w kraju i objęły sobą fabrykę. Autor pokazał w sposób przekonujący wpływ bazy na kształtowanie świadomości robotnika. Przeobrażenia te zachodzą u Plewy dialektycznie — skokami. Poszczególne etapy to: sprawa zwrotu ukrytych w czasie okupacji motorów, awans Plewy na majstra i wypadek sabotażu. Każde z tych zdarzeń przynosi Plewę do progu świadomości socjalistycznej.

Kim był Plewa na początku powieści? Prosty, nieświadomy robotnikiem — więcej — w warunkach kapitalistycznych, już tylko „szmalcem ludzkim” (Plewa od czasu gdy utracił w wypadku przy pracy palec — został zwolniony z pracy na oddziale. Potem z łaski przyjęto go na stróża fabrycznego).

Plewa posiadał jednak robotnicze przywiązanie do pracy i fabryki, a przede wszystkim poczucie solidarności proletariackiej. To był jego skromny „kapitał”, który pozwolił z miejsca włączyć się do pracy nad odbudową fabryki przez zwrot ukrytych w czasie okupacji motorów.

Na dalszy proces przemian wpływa awans Plewy na majstra kurni mechanicznej i wylaniające się w związku z tym problemy: konieczność dokształcania się i uzyskania wpływu na robotników (te ostatnią sprawę komplikuje zwłaszcza nieprzyjazna postawa Niedzieli — urażonego w ambicji rywala Plewy). Autor wnikliwie pokazuje, jak awans społeczny aktywizuje robotników, jak szybko dorastają oni do przewyższających zdawało by się ich możliwości funkcji.

Plewa kształcą trudności, które musi przezwyciężać, błędy, które musi naprawiać. W szczególności doskonale przedstawił autor proces doskonalenia przez Plewę jego początkowej izolacji od robotników

i tworzenie w kurni pierwszego socjalistycznego kolektywu robotniczego.

Działalność wroga klasowego pokazana w swych przejawach typowych (podburzanie robotników do strajku, sabotaż), wpływa na przyspieszenie tego procesu konsolidacji.

Mówiąc o typowości, należy zwrócić uwagę na stosunek wzajemny cech indywidualnych i typowych w powieści Hamery. Czytelnicy, którzy znają Ostrowiec Świętokrzyski łatwo odnajdą w topografii fabryki i jej okolicznościach indywidualne ostrowieckie Huty. Banda, która morduje sekretarza organizacji partyjnej, Nieglickiego, to znana z podobnych wyczynów na Kielecczyźnie banda Szarego. Autor nie dał się jednak zasugerować indywidualnym obrazem rzeczywistości. Wziął z niej tylko to, co typowe. Stąd tytuł „Na przykład Plewa” ma głębokie uzasadnienie treściowe. Plewa jest bowiem naprawdę „tylko” przykładem. Plewów były tysiące. Dzięki nim w tak krótkim czasie dzwignięliśmy z ruin nasz przemysł. Oto w jaki sposób historia jednego robotnika, ułamkowa w zakresie ilościowym, jakościowo daje nam szeroki obraz rzeczywistości. W wyniku rzeczywistości sprawdza realizm powieści pod każdym stopniem szerokości geograficznej Polski Ludowej.

O błędach Hamery można się wyrazić, że nawet one są zjawiskiem pociesającym i nastrajają krytyka optymistycznie. Są to bowiem błędy nowe, jak cała powieść, potwierdzające tezę o nowatorstwie Hamery. Nie mają one nic wspólnego z typowymi błędami w dotychczasowej literaturze o ludziach pracy. Hamer uniknął łatwo zarówno ześlizgnięcia się na tory małego realizmu — podglądania przez dziurkę od klucza prywatnych — by nie rzec — domowych kłopotów powszedniego dnia robotnika, jak i — „przejałowienia”, skoncentrowania zbyt wąskiej uwagi na procesach techniczno-produkcyjnych i zagubienia między maszynami indywidualnego człowieka, co tak ujemnie zaciążyło nad powieściami Wilczka i Mirosława Kowalewskiego.

Błędy Hamery leżą już w innej płaszczyźnie. Są to przeważnie usterki strukturalne i stylistyczne. W kilku miejscach, rozwijając akcję, autor początkowo zagarnia pod obiektyw swojej postaci i wchodzi z nimi w intymniejsze „zbliznienie”, niżby tego wymagał zwycajał statysty. Lecz wkrótce zaciemnia krąg widzenia z powrotem do Plewy. No-

we postaci znikają za kulami, by się więcej nie pokazać.

Widać również błąd, jakby przeciwnego rodzaju; autor spóźnia się z pokazaniem postaci i wprowadzeniem jej do akcji i nadrabia to dopiero w epilogu, tworząc dla niej osobny wątek, psując w ten sposób konstrukcyjną linię powieści. Mam na myśli postać sekretarza organizacji partyjnej, Nieglickiego. Zwróćmy w tym miejscu uwagę, jak polityczne błędy treściowe mszczą się na konstrukcji utworu. Czynnikiem oddziaływującym wychowawczo na Plewę są, oprócz zmienionej sytuacji ogólnej na fabryce — Rada Zakładowa w osobie dzielnego przewodniczącego, Wójcickiego i Urząd Bezpieczeństwa Publicznego (w związku ze sprawą sabotażu); brak natomiast czynnika decydującego — Partii. Gdyby autor wcześniej powiazał i ustatkował w związku przyczynowym proces przeobrażenia Plewy z wychowawczą pracą organizacji partyjnej w fabryce i jej sekretarza Nieglickiego, wątek Nieglickiego pod koniec powieści nie wyskakiwałby trochę jak deus ex machina, jednoś i wiesz konstrukcji zostałyby zachowane.

Słabą częścią utworu jest wstęp, sztuczny i frazeologiczny (i z pewnością zbędny dla całości powieści), w którym autor usiłował skrótownie naszkicować przebieg wypadków ubiegłej wojny i sytuacji w Polsce.

W ogóle pięta achillesowa Hamery są partie opisowe. Wszędzie tam, gdzie autor przechodzi do konkretnego i szczegółu do abstrakcji i uogólnienia, widać nieporadność językową. W przeciwnieństwie więc do żywych dialogów i przekonywującej charakterystyki postaci biorących udział w akcji, próby malowania krajobrazu, przedstawiania skrótów historycznych i ilustrujących je abstrakcyjne postaci wypadły sztucznie.

„Rolnik wyciągał żyłtę, chciwie pracując ręką i kłak bezdźwięcznie, trawion bezczystością, ale nie mógł wstać na swój zagon, bo tam czołgała nań śmierć, ukryta w jego wypracowanej ziemi”. (str. 237).

„Jeśli gdziekolwiek, kiedykolwiek, były jakieś dzikie pola, to te pola były najdziksze z dzikich, bo to były pola zdziczałe”. (str. 238).

Mówiąc o debiucie Hamery nie sposób pominąć sprawy kadr literackich.

Fakt, że pierwsza dojrzała ideologicznie powieść, wyszła nie spod pióra zawodowego i „doświadczanego” literata, lecz spod pióra debiutanta, stojącego dotychczas poza życiem literackim jest zjawiskiem dającym

terackim jest zjawiskiem dającym dużo do myślenia.

Wskazuje przede wszystkim na to, że „doświadczenie” literackie formalne nie zastępuje doświadczenia „z prawdziwego zdarzenia”, jakim jest osobiste zetknięcie się i udział autora w walce o budowę socjalistycznej ojczyzny. Rosną nowi ludzie, o których mówił prezydent Bierut na IV Plenum Partii, a więc — i nowe kadry literackie. Takich ludzi przybywających z „zewnątrz” do literatury będzie coraz więcej. Rodzić ich będzie postępujący coraz szybciej rozwój kulturalny naszego kraju i podnoszenie się świadomości socjalistycznej robotników i chłopów.

Ludzie ci gotują nieraz nad literatem z za biurka poziomem ideologicznym, świeżością wyobraźni, wewnętrzną znajomością budownictwa socjalistycznego, w którym biorą bezpośredni udział, entuzjazmem, a nade wszystko swych stosunków do pracy literackiej, którą uważają za pracę par excellence polityczną, za pracę aktywistyczną — działacza społecznego — za walkę taką samą, jak na innym polu, tyle tylko, że odpowiedzialniejszą, a może i skuteczniejszą.

Zjawisko to nakłada na Związek Literatów Polskich obowiązek wykrywania tych ludzi, pomagania im w starcie i troskliwego czuwania nad ich rozwojem.

Należało by zrealizować wreszcie stałe formy ścisłej współpracy Z.L.P. z sekcjami kulturalno-oświatowymi Związków Zawodowych i organizacji społecznych a zwłaszcza ZMP, jak również z robotniczymi klubami literackimi, by perypetie Hamery, zanim go „odkryto”, nie mogły się więcej powtórzyć, by nie powtórzyła się sytuacja, że wyrasta pierwszorzędny talent pod nosami Związku, a Związek aż do chwili wydania książki nie o tym talencie nie wie. Zjazd czerwcowy literatów uświadomił sobie te błędy i wyciągnął z nich daleko idące wnioski.

Mamy więc podstawy żywić nadzieję, że problem kadr literackich, który wzbudza tak wielkie zainteresowanie wśród działaczy kulturalnych czego dowodem dyskusja, jaka się zawiązała na łamach „Wsi”, znajdzie już w najbliższym czasie swoje praktyczne rozwiązanie w sposób umożliwiający łatwy dopływ do literatury świeżych i wartościowych sił.

Edmund Niziurski

Bogdan Hamer. „Na przykład Plewa”. Książka i Wiedza. 1950.

*) W. Dobrowolski. Trzej w szarych płaszczach. „Prasa Wojkowa”, 1950.

*) W. Dobrowolski. Trzej w szarych płaszczach. „Prasa Wojkowa”, 1950.

*) W. Dobrowolski. Trzej w szarych płaszczach. „Prasa Wojkowa”, 1950.

*) W. Dobrowolski. Trzej w szarych płaszczach. „Prasa Wojkowa”, 1950.

*) W. Dobrowolski. Trzej w szarych płaszczach. „Prasa Wojkowa”, 1950.

*) W. Dobrowolski. Trzej w szarych płaszczach. „Prasa Wojkowa”, 1950.

ZBIGNIEW ŻABICKI

POWIEŚĆ O STUDENCKIM KOLEKTYWIE

Tytuł powieści młodego pisarza radzieckiego, Włodzimierza Dobrowolskiego — „Trzej w szarych płaszczach” — nasuwa z łatwością skojarzenie z książką o podobnym tytule Johna Priestley’a, burżuazyjnego pisarza angielskiego. Skojarzenie to nie było obcym i samemu autorowi omawianej powieści; czyni on aluzję do książki Priestley’a w jednym z dialogów, analizując polemicznie w wypowiedzi jednej z bohaterów problem przez angielskiego pisarza. „Wcale mi ich nie żal” — mówi Nima — o trzech żołnierzach brytyjskich, którzy po demobilizacji znajdują w powrocie do codziennego życia tylko rozczarowanie. — „Po prostu nie mogę ich zrozumieć. Jakich innych świat, jak gdyby inne stulecie. Oczywiście są tam różni ludzie. Ale ja mam wciąż wrażenie, że oni się tam boją, by nie stracić swego taniego dobrotu i spokoju”.

Inaczej dzieje się w powieści Dobrowolskiego. Trzej młodzi ludzie stają po powrocie z wojny pełni zapału do swych warsztatów pracy. Trzeciemu z nich przychodzi to najciężiej — w konsekwencji odniesionych ran cierpi na epilepsję; zagrożony bliską śmiercią uważa się za straconego już człowieka. Ratuje go kolektyw studentów.

Sądzę jednak, że sprowadzanie problematyki powieści Dobrowolskiego tylko do jakiejś artystycznej repetycji na powieść Priestley’a było by zaciemnianiem skali poruszonych w niej tematów, chociaż polemika taka jest i potrzebna i słuszna. Tematem książki radzieckiego pisarza nie jest tylko los powracających z wojny żołnierzy, los, uzależniony oczywiście od socjalistycznej struktury społeczeństwa radzieckiego i od wpojonego młodzieży socjalistycznego wychowania. Zamiary Dobrowolskiego sięgały z pewnością dalej i w znacznej mierze zostały zrealizowane. Pisarz nie dał więc analizy jednego tylko problemu, lecz starał się ukazać w szerokim przekroju radzieckie środowisko studenckie, jego życie codzienne, radości i bóle, wspólną pracę i rozrywkę, starał się udowodnić niewątpliwą wyższość życia kolektywnego.

Na czoło akcji wysuwa się kilka postaci typowych dla całego środowiska. Z nich najbardziej dobitnie rysuje się sylwetka Wiktora Czerkaszina. Postać ta reprezentuje wszy-

sto to, co najlepsze w radzieckiej młodzieży studenckiej. Wiktora, o którym pisze autor, że „pięciolatka stanowiła treść jego życia”, cechuje głębokie zrozumienie wspólnego celu, o jakim go dąży całe społeczeństwo radzieckie i konieczności wspólnej pracy nad dalszą rozbudową socjalistycznej ojczyzny. „Wszyscy jesteśmy zwykłymi, przeciętnymi ludźmi. Zwykłymi ludźmi, a nie jakimiś geniuszami” — mówi Wiktora, a dalej: „Nie znasz naszych zwykłych, przeciętnych ludzi. Trzeba, mój drogi, stawiać duże kroki, by nadążyć za nami. Trzeba mieć prawdziwy cel... a każdy człowiek może zostać bohaterem”.

Alle Wiktora charakteryzują nie słowa — mówią o nim przede wszystkim jego czyny. Wspomnijmy jeden, szczególnie interesujący, w zestawieniu z naszym rodzimym życiem studenckim. Oto zdarza się Czerkaszinowi iść na egzamin bez należytego przygotowania. Dzięki przypadkowi zdaje egzamin z wynikiem bardzo dobrym. Ale poczucie obowiązku wobec społeczeństwa, właściwy stosunek do pracy nie pozwala skorzystać Wiktoremu ze szczęśliwego trafu — udaje się do profesora, prosi o unieważnienie wyniku i zdaje egzamin po szczegółowym przerobieniu materiału po raz drugi.

Mimo nagromadzenia tylu cech pozytywnych nie jest jednak Czerkaszin postacią papierową. Czuje on po ludzku, nie obca mu jest miłość, ale swe sprawy osobiste łączy z celem ogólnym. Zacytujmy autora: „Właśnie to jest miłość: myśleć, marzyć, odkrywać, uczyć się, przyjaźnić, pomagać, iść razem ze wszystkimi na przód, nie zatrzymując się ani na chwilę, nie pozostając takim, jakim się było onegdaj, wczoraj, nawet dzisiaj. Bo miłość to jest jutro, to jest przyszłość. Bo miłość to jest to, wobec czego nie można być słabym i bezużytecznym”.

Alle przechodząc do spraw osobistych Wiktora dotykamy już pierwszego błędu Dobrowolskiego. Wiktora od lat kocha młodą dziewczynę, Tamara, z którą na dłuższy czas traci wszelki kontakt. Otóż obraz Tamary, nakreślony przez Dobrowolskiego, w żadnym wypadku nie uzasadnia tak trwałej miłości ku niej Wiktora. Na sprawę tę zwrócić uwagę już krytyk radziecki, G. Lenob, pisząc w recenzji z powieści Dobrowolskiego (Nowy Mir, nr 7-1949) o mglistości zarysowanej sylwetki Tamary. Podobne zastrzeżenia wysunąć by można także co do sposobu, w jaki dokonał autor charakterystyki jednego — jakby wynikało z tytułu — spośród trzech głównych bohaterów książki, tokarza Saszy Popowa. Wiemy o nim stosunkowo mało — kilka wypowiedzi odautorskich, kilka wypowiedzi samego bohatera nie przybliżają do czytelnika należyte tej postaci, która jest w powieści bądź co bądź jedynym niemal (obok Anny Iwanowny) reprezentantem środowiska robotniczego. Te fragmentaryczność, niepełność w odtworzeniu niektórych, nawet nie dwugłoplanowych postaci, podkreśla inny krytyk radziecki L. Skorin w recenzji z drugiej książki Dobrowolskiego „Żenia Masłowa”, stanowiącej ciąg dalszy „Trzech w szarych płaszczach”.

Pisze on: „Autor zadawała się tylko powierzchownymi, impresjonistycznymi szkicami, nie idąc w głąb, nie zadając sobie trudu stworzenia pełnowartościowych realistycznych obrazów” („Znamia”, nr 7-1950).

O ile jednak grzeszył Dobrowolski dużą fragmentarycznością w ujęciu wybranych postaci, o tyle niewątpliwie powiodło mu się ukazanie zwaitej całości kolektywu studenckiego w jego codziennej pracy. Od zajęć przy odbudowie samej uczelni, poprzez wspólne przygotowywanie się do egzaminów, aż do kolektywnej pracy naukowej widzimy, jak wszędzie tryumfuje duch zespołowości. Pociąga on i wykładowców uniwersytetu, choćby najciężej dotkniętych przeżyciami wojennymi — że wspomnę tu świetnie zarysowaną postać profesora Deriawianki. Współpraca i życie się w kolektywie wpływają wreszcie dodatnio na jego członków: wraca do zdrowia epilektyk Czemięzow, właściwą drogę życiową odnajduje w pracy pedagogicznej Wołodina, dotąd poeta bez talentu. Błędy swe uznaje, nie przyznając się do nich zresztą otwarcie, Borys Iwniew, choć w stosunku do tej postaci autor za słabo uwidocznił wpływ kolektywu. Maska sceptycyzmu, wiecznego krytycyzmu i ironii, jaką nakładał na Borysowi zbyt silnie przyrasta do jego twarzy; czytelnik odnosi chwilami wrażenie, że przestaje ona być maską.

Reasumując stwierdzić należy, że przekład powieści Dobrowolskiego przynosi czytelnikowi polskiemu niewątpliwie artystyczny obraz życia studentów radzieckich. Postacie, stworzone przez Dobrowolskiego, są dla tego środowiska postaciami prawdziwymi; typowymi sytuacje, w jakich się one znajdują, rzeczywistym ich życie oddane przez autora. Głęboka świadomość polityczna (przypomnijmy rozmowy Wiktora, Saszy i Niny na temat walki o pokój), zrozumienie wspólnego wszystkim członkom społeczeństwa radzieckiego celu, wspólna, kolektywna praca i wzajemna pomoc nie tylko w nauce, ale i na każdym odcinku życia — oto cechy radzieckiej młodzieży studenckiej, które przekonywująco odzwierciedla w swej książce Dobrowolski. W sumie powieść porwa swoimi optymizmem i sprawi silne wrażenie na czytelniku.

Zbigniew Żabicki

ANIELA DASZEWSKA

PRACOWNIA MŁODYCH

Centralne Biuro Studiów i Projektów Budownictwa Przemysłowego, mieści się w odbudowanym, za-bytkowym Arsenale przy ulicy Długiej. Tu gdzie w noc listopadową tysięcy osiemset trzydziestego roku Nabelak i Wysocki z garstką podchorążych chwycili za broń, dając hasło rewolucji listopadowej — w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku w ciasnich salkach za tymczasowymi przepierzeniami mieszczą się setki stolików i rajbretów, nad którymi pochyleni pracują architekci, konstruktorzy, kreślarze. Ta armia przygotowuje bitwę o Plan Śześcioletni, przygotowuje zwycięstwo rewolucyjnego proletariatu Warszawy.

Tu w warszawskiej ekspozycje Biura pod dyrekcją inżyniera Krotkiewskiego powstaje dokumentacja przemysłu Warszawy. Tu kilkuset ludzi opracowuje rocznie kilkaset planów, na które czekają ręce robotników aby wyprzedzić plan, aby wyprzedzić historię, tworząc i przekształcając Warszawę według swych pragnień i potrzeb.

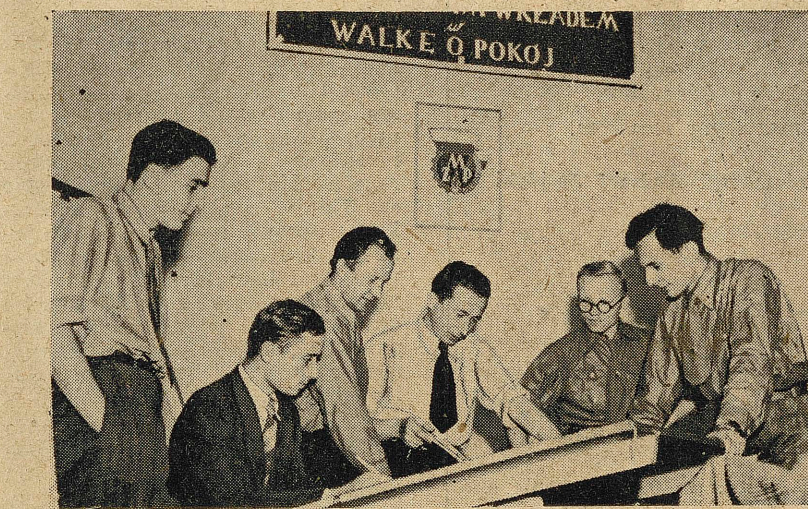
Przechodząc przez sale arsenału, zatrzymujemy się przy jednym ze stolików, przy pięknym szkiecie fabryki samochodów osobowych na Żeraniu. Jest to wizja produkcyjnych hal fabrycznych, otoczonych pasami zieleni. Widzimy wspaniałe urządzenia socjalne, mające na względzie dobro i szczęście człowieka. Widzimy wspaniały Dom Kultury i żłobek dla dzieci do lat dwóch. Starsze będą w czasie pracy matek w przedszkolach osiedla mieszkalnego i w szkołach. Widzimy fabryczny park sportowy z boiskami, plażą nad Wisłą i przy-

stanią kajakową. Jest to wizja architekt, lecz wystarczy tylko przejechać trasą W-Z nieco dalej na wschód w kierunku Modlina aby zobaczyć w realizacji: — zorganizowaną budowę, tłumy pracujących tu robotników i już gotowe, nowe okazałe hale produkcyjne. Dachy osklo-none od strony północnej, dają halom równomiernie rozproszone światło. Wielkie zaś okna, zajmujące niemal całe przestrzenie ścian bocznych, pozwolą robotnikowi patrzeć na piękne drzewa i kwiaty dookoła. Jak najbardziej zmechanizowana praca oszczędza bieżące siły i zdrowie. Robotnicy będą mogli korzystać z punktów zbiorowego wyżywienia, przysn-ców, sal wypoczynkowych, domów kultury, świetlic fabrycznych, bibliotek, czytelni i boisk sportowych.

Jak z mapy dowiadujemy się o kształtach nieznanych ładów, tak na widok planów możemy dojrzeć szczęśliwy kraj ludzi pracy.

W „sztabie” planowania Warszawy przemysłowej na drzwiach jednego z pokoi wisi tabliczka ze znacznikiem ZMP i napisem: „Pracownia Młodych”.

Jest to jedyna w Polsce pracownia młodych architektów i konstruktorów. Pracownia ta powstała w tym roku jako pierwszomajowy czyn miejsowego Koła ZMP. Założyli ją koledzy Solec i Grubiński. Kiedy wchodzi do pracowni kolega Solec, kierownik zespołu konstruktorów, który na wiosnę zdobył tytuł inżyniera i asystenturę na Politechnice,



Narada produkcyjna w „Pracowni Młodych”. Od lewej ku prawej: kol. kol. Bobrowski, Adamski, Pieniżek, Gzubiński, Mankiewicz i Solec.

siedzi nad obliczeniem projektu. Co chwila nastawia maszynę do liczenia, sprawdza wyniki, poczyn kasuje krejąc korbą z charakterystycznym grzechem.

Kolega Bobrowski dwudziestotrzyletni architekt, kierownik grupy projektantów-architektów, stoi przy stole i zapamiętałe rysuje coś i kreśli. Kolega Pieniżek, student trzeciego roku architektury siedzi opodal nad projektowanym przez siebie planem jednej z fabryk podwarszawskich.

W całej naszej pracowni — mówi Pieniżek — pracujemy nad stworzeniem architektonicznego wyrazu realizmu socjalistycznego w budownictwie przemysłowym, ale to sprawa trudna...

— Tym trudniejsza — wtrąca Bobrowski — że poza fabrykami z czasów Tyzenhauza i Lubeckiego nie ma narodowych tradycji w budownictwie przemysłowym. Rozwijający się kapitalizm w dziewiętnastym i dwudziestym wieku w miarę wzrostu konkurencji robił oszczędność na robotniku, budował jako miejsca jego pracy, ponure, tandetne budy. Musimy od nowa w oparciu o doświadczenia radzieckie wypracować sobie rodzimą architekturę przemysłową. Humanizm socjalistyczny, troska o człowieka, o jego warunki pracy, jego zdrowie a także staranie o piękny, plastyczny wyraz fabryki — to zasadnicze wytyczne w pracy architekta i konstruktora w kraju socjalizmu.

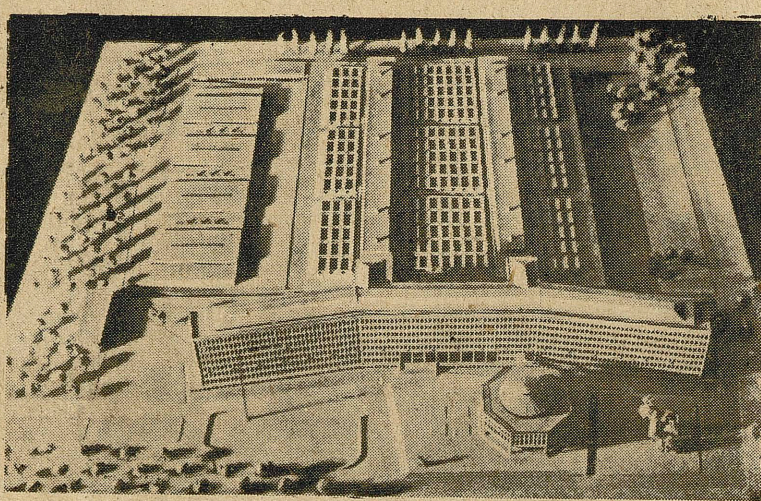
— Moja fabryka — zaczął z dumą Pieniżek, pokazując swój plan — stanowi jedno ogniwo pewnego kom-

binatu przemysłowego i będzie obsługiwana tylko przez zespół dziesiętnastu osób. Będzie miała najnowocześniejsze narzędzia pracy i wszystkie urządzenia socjalne.

Młody kreślarz — uczeń wieczorolletniego gimnazjum budowlanego, Mankiewicz stoi przy rajbretcie i z uwagą przesuwa mechanizm kątownicy. Właśnie wyciąga tuszem roboczy rysunek schodów. Podobnie pracują Zdziarski, Parzuch i Niedzielski.

Przewodniczącym pracowni jest Gzubiński. Prawie wszyscy pracujący tu młodzi, technicy i kreślarze, — chłopcy, którzy ciężką pracą zdobywają awans społeczny.

Pieniżek od piętnastego roku życia pracował na budowie i dopiero po wojnie miał możliwość uzupełnienia swego wykształcenia ogólnego i zawodowego. Ukończenie kursów przygotowawczych otworzyło mu drogę na Politechnikę, na wyznaczony od dzieciństwa architekturę. Zdziarski, Niedzielski, Parzuch i Mankiewicz to uczniowie wieczorowych kursów i szkół budowlanych i kreślarskich. Z kolegą Mankiewiczem zaczęło się tak: — Trudno było uzyć w Milejowie, w rodzinnej wiosce w lubelskim. Ale pewnego wieczoru usłyszał w radio: „Budowlana szkoła w Warszawie na Ochocie organizuje korespondencyjne kursy kreślarskie...”. Zapisał się. Potem pojechał na egzamin. Zdał celując. To otworzyło mu drogę do jednej z pracowni w Warszawie i do wieczorowego gimnazjum budowlanego przy Politechnice Robotniczej. (dokończenie na str. 8.)



Makieta Domu Słowa Polskiego.

DYSKUTUJEMY O KADRAH LITERACKICH (2)

Ryszard Jędraszczyk

Pisma literackie, a kształcenie młodych pisarzy

Sytuację nowych kadr w literaturze u nas z całą słusznością można charakteryzować słowami towarzysza Stalina zamieszczonymi w liście do tow. Kona w związku z ukazaniem się recenzji z książki Mikuliny pod tytułem „Współzawodnictwo mas”, do której tow. Stalin napisał przedmowę.

Czytamy tam między innymi: „mamy setki i tysiące młodych i zdolnych ludzi, którzy ze wszystkich sił dążą do wybita się po to, żeby wnieść swój wkład do wspólnej skarbnicy naszego budownictwa. Lecz wysiłki ich często pozostają daremne, bo na każdym kroku zagłuszają ich zarozumiałstwo, „nazwisk” literackich, biurokratyzm i bezduszność niektórych naszych organizacji, wreszcie zazdrość (która nie przeszła jeszcze we współzawodnictwo) rówieśników i rówieśniczek. Jedno z naszych zadań polega na tym, żeby przebić ten głuchy mur i dać młodym siłom, których imię jest legion”. Słowa te posiadają u nas obecnie bardzo aktualną wymowę. Wyczuwa się w nich głęboką i mądrą troskę o człowieka.

Dla początkujących twórców słowa te zawierają treść mobilizującą ich siły do wyłożonej pracy nad sobą. Chciało by się, aby słowa podobnej treści pojawiały się na łamach naszych pism literackich i to spod pióra redaktorów, ludzi przy obecnej organizacji życia literackiego w pierwszej „instancji” decydujących o tym, czy dane nowo nazwisko wypłyne na powierzchnię, czy też dla nowej literatury zostanie stracone.

Jak dotychczas sprawa nowych kadr w literaturze u nas wyglądała? Przyjrzyjmy się jej od strony piszących. W jakimś mieście, wsi lub miasteczku, przełamawszy nieśmiałość i zwalczając w sobie kompleksy niższości, zasiadał młody chłop lub robotnik do pisania listów do któregoś z periodyków literackich w stolicy i wysyłał swoje utwory, najczęściej wiersze. Potem przychodziły meczące, pełne niepokojów oczekiwanie dni, które wydłużały się w nieskończoność, aż wreszcie nadzieja na „otrzymanie odpowiedzi” jakiegokolwiek bądź treści gąsła.

Ale pomimo gorzkości doznanego zawodu i zwątpienia we własne możliwości, inna się znów pióra. Po jakimś czasie wysyłał swoje nowe utwory, by narazić się ponownie na głuchą obojętność ze strony redakcji. Warto ten obraz podkutywany gorzkością i poprzeczek obiektywną wymową faktów. Według wiadomości otrzymanych przez „Sztandar Młodych”, poszczególne redakcje periodyków społeczno-literackich na przesyłki nazwisk nieznanymi jeszcze, reagują bardzo różnie. I tak: „Chłopska Droga” — na wszystkie takie przesyłki odpowiada formułą „nie nadaje się...”, „Nowa Kultura” — zapewnia nimi kosze redakcyjne, pisma młodzieżowe odpowiadają tylko na część z nich. Chlubny wyjątek w tym niesławnym łańcuchu obojętności i społecznej niewrażliwości stanowi redakcja „Trybuny Wolności”, która odpowiada na wszystkie listy i „Przyjaciółka” — postępująca w podobny sposób.

Początkujący twórca nie może pojąć, dlaczego się tak jeszcze u nas dzieje w roku 1950. Przecież już ostatecznie i w sposób zdecydowany wydano walkę kumoterskim stosunkom w życiu literackim, oraz obnażono ideologiczne korzenie wprowadzania na teren literatury pojęcia walki pokoleń na miejsce istotnej walki klas. Zdawało by się, że wszelkie przesłanki zostały spełnione, by nowe, siły, garnczące się do literatury, mogły poczuć nad sobą opiekę i troskliwość środowiska zawodowych literatów, jedynie powołanych do spełniania tego zadania. Nie dzieje się tak jeszcze wciąż dla dwóch głównych powodów.

Dotąd nie uświadomiono sobie jeszcze dosyć wyraźnie, że źródło społecznych tego imponującego zjawiska, jakim jest masowy napływ nowych sił do literatury. Nadto pojmując twórczość literacką w sposób idealistyczny, wciąż jeszcze za mało docenia się w niej czynnik pracy. To rodzi konsekwencje praktyczne. Każdy utwór nie nadający się jeszcze do druku, traktuje się jako grafomanie i nie wierzy się w możliwość przemiany artystycznej jego autora.

W takim przekonaniu oczywiście utwory młodych nadają się już tylko do koszu, na których zapalenie redakcje chyba nie mogą się skarżyć. Do zagadnienia nowych kadr w literaturze można podejść prawidłowo jedynie rozpatrując je w związku z przeobrażeniami społeczno-gospodarczymi i politycznymi, jakie u nas się dokonały po lipcu 44 roku. Rewolucja społeczno-gospodarcza stała się podstawą awansu społecznego szerokiej mas, uaktywniła je i doprowadziła do zagadnień kultury.

Młody chłop lub robotnik, aktywnie przeżywający nową rzeczywistość, pragnie swoje doświadczenia w walce o nią, swoje uczucia i myśli uwiecznić i dlatego pisze wiersze lub sięga po inny rodzaj wypowiedzi literackiej.

Trzeba sobie i to uświadomić, że istnieje zasadnicza różnica w pobudkach twórczych między faktem pisania wierszy przed wojną przez znudzone i próżne „paniątko” a obecnie przez młodego chłopca lub robotnika. Dla pierwszego była to jeszcze jedna z form wyrażenia się i zabicia nudą, jeden z wielu sposobów dogodzenia swej próżnej ambicji. Gdy chłop lub robotnik sięga po pióro, to jest to

przeważnie dowód jego aktywności politycznej i przejaw woli, zmierzającej do kształtowania rzeczywistości w formie wyższej, doskonalszej — w formie artystycznej.

Zadaniem redakcji pism literackich powinno być podtrzymywanie tych ambicji.

I tutaj dochodzimy do praktycznego rozwiązania tego problemu.

Trzeba przyznać, że większa część nadesłanych do redakcji utworów nie posiada zadawalającego poziomu artystycznego, a zatem nie nadaje się do druku.

Ale w tym miejscu dopiero powinna się zacząć rola wychowawcza redakcji w kształceniu nowych kadr literackich.

Może to dodatkowo obciąża redakcję obowiązkiem, z którego one przy dzisiejszym stanie organizacji pracy redakcyjnej, nie potrafią się wywiązać. Ale trzeba jednak, żeby właśnie te role przejęły redakcje, gdyż im na[ta]wie jest nawiązać kontakt z początkującymi twórcami. Praktycznie w szczególności problem kształcenia nowych kadr literackich będzie można rozwiązać w oparciu o bogate doświadczenie Związku Radzieckiego.

W tym kierunku ostatni zjazd literatów powziął przecież decyzję.

Czas by już bowiem było wyjść z literatury poza idealistyczne koncepcje żywiołowości i przypadkowości. Na rozwój nowych sił literackich trzeba oddziaływać w sposób zorganizowany i racjonalny. Młody twórca, chodzący dotąd samopas pozostawiony sam sobie, po omacku szukający drogi do literatury, nie powinien się już czuć w swoich wysiłkach samotny. Musi poczuć nad sobą doświadczoną rękę, która go poprowadzi do upragnionego celu — do zawodu pisarza, poetę.

Ktokolwiek zetknął się z utworami początkujących twórców robotników i chłopów musi przyznać, że w większości oznaczają się one wysoką wartością ideologiczną. I jeszcze jedno — ich autorzy są niesłychanie czujni na każdy przejaw życia politycznego w kraju i za granicą. Właśnie ci młodzi robotnicy i chłopcy realizują postulat literatury partyjnej, owiany szczerym ludowym patriotyzmem i internacjonalizmem. Pozostaje jeszcze jeden warunek do zrealizowania: kształcenie tych nowych sił, aby wyszło to, czym żyje człowiek budujący socjalizm, wyraziło się w doskonałym kształcie artystycznym.

Niech przykład Ażajewa, Babajewskiego i wszystkich tych, którzy w Związku Radzieckim dzięki zorganizowanym formom kształcenia nowych kadr osiągnęli ostrogi literackie, będzie dla właściwych czynników u nas zachętą do podjęcia kształcenia młodych pisarzy.

Ryszard Jędraszczyk

Jerzy Wacziński

O opiekę nad młodymi talentami

W 36 numerze „Wsi” zauważyłem list i wiersz młodego Zetempowca, Witolda Kulika. W swoim liście kol. Kulik pisze: „Ponieważ obecnie w Polsce młodzież ma wielkie przywileje, przykładałem się z całym sercem, by dopiąć swych zamierzeń”.

Takich debutantów, jak kol. Kulik, mogłoby być setki, a nawet tysiące. Młodzież ma rzeczywiście w Polsce Ludowej wielkie przywileje, ale tych młodych twórców nieznanymi szerszemu ogółowi należy otoczyć wyjątkowo troskliwą opieką.

Ci młodzi literaci, tworzą najczęściej tylko dla siebie. Nie przysyłają swych utworów do redakcji pism literackich, ponieważ obawiają się zbyt ostrej krytyki, która mogłaby wytrącić im z rąk pióro, mogłaby zniszczyć w nich zarodki talentu.

Ktoś mógłby powiedzieć, że walczą w imieniu grafomanów. Nie, pragnę tylko podkreślić, że wśród grafomanów, którzy piszą często czołko tylko dlatego, by ująć swoje nawisko w prasie lub wmałwiać w siebie, że są utalentowani, istnieje także ludźmi młodzi, rekrutujący się ze sfer robotniczych i chłopskich, którzy naprawdę mają talent.

Tych ludzi nie można nazwać grafomanami i nie wolno odpisywać krótko i lakonicznie: „nie zamieścimy”.

Musimy cenić trud człowieka. Karygodnym niedbalstwem, które może się w przyszłości okrutnie zemścić, jest lekkie traktowanie tych czytelników, którzy przysyłają do redakcji swe utwory na brudnym, zatłuszczonym papierze, nagryzionej polamaną stalówką.

Właśnie ci ludzie zasługują na największy szacunek. To są robotnicy i chłopcy, którzy wieczorem po pracy siadają do stołu, na którym obok papieru do pisania stoją jeszcze talerze po obiedzie, i zaczyna ją tworzyć.

Nie piszą oni o miłości, nie plamią papieru banalnymi strofami, które zabawiłyby wytwornych panów i zasiadałyby przy kominku damy. Ci ludzie piszą o sprawach realnych. Podobnie jak kol. Kulik w wierszu opisują pracę w szkolnej brigadzie żniwnej, jak Włodzimierz Domeradzki opisuje pracę na

W związku z wypowiedzią B. Chęcińskiego „W sprawie kadr” — otrzymaliśmy listy od naszych czytelników i korespondentów, świadczących o żywości poruszonego przez Chęcińskiego problemu. Ciekawszymi z tych głosów publikujemy na prawach korespondencji terenowych, mimo że niektórych zawartych tam poglądów nie podzielamy.

Mamy nadzieję, że doceniając wagę tej tak istotnej dla naszego rozwoju kulturalnego sprawy kadr literackich, w dyskusji zapoczątkowanej przez nasze pismo wezmą udział oprócz indywidualnych głosów czytelników, korespondentów i zawodowych literatów również terenowe kluby i zespoły literackie.

Imiennie zapraszamy do dyskusji warszawski robotniczy zespół literacki „Budujmy” oraz związkowy klub literacki samorządowców łódzkich „Przełom”.

REDAKCJA

Łósef Pogan

W poszukiwaniu kadr literackich

SPRAWA kształcenia kadr literackich ze środowiska robotniczo-chłopskiego — który poruszył Bronisław Chęciński w Nr-ze 35 „Wsi” — jest sprawą ważną i nie powinna być przemilczana.

Trzeba przyznać, iż obecnie w Polsce Ludowej przed każdym utalentowanym człowiekiem stoją możliwości awansowania do roli prawdziwego artysty; ale trzeba też przyznać, iż nie każdy utalentowany ma sposobność trafić na drogę możliwości rozwoju i awansu. Niemalże to jest spowodowane różnymi powodami, jak: brakiem materialnymi, brakiem wykształcenia, brakiem odpowiedniego zekfiancia się z literaturą (samo czytanie pism i książek nie wystarcza) i wreszcie rozczarowaniem po wrzuceniu przez redakcję do kosza pierwszego nieudanego utworu. Te właśnie powody zamrażają wiele talentów!

Dla poparcia tego twierdzenia podam kilka faktycznych przykładów z terenu Górnego Śląska:

W Śląskim Oddziale Związku Literatów w Katowicach leżał od pół roku gruby brulion wierszy napisanych przez robotnika-półinteligenta z Knurowa. Byłem właśnie w Biurze Związku Literatów, gdy zjawił się właściciel owego brulionu, dopytywał się uprzejmie sekretarki biura, „czy jego wiersze zostaną wydrukowane”. Sekretarka uśmiechnęła się pobłażliwie i z politowaniem odpowiadając, iż Związek Literatów nie jest firmą wydawniczą, ani jakąś redakcją i że żaden z członków Związku tych wierszy nie przeglądał.

Poprosiłem sekretarkę o ten brulion i przeczytałem parę wierszy. Zawarta w nich myśl, różni ujęcia i porównania, ukazały mi świadectwo talentu, choć, co jest nieudolną rytmiką i fałszywe metafory nie kwalifikują wierszy do poziomu literackiego, a mylne sformułowania wypaczyły istotną myśl i intencję autora. W tych trudnościach należało by mu pomóc.

Pewien uczeń z katowickiego liceum przesał mi do oceny cały

budowie, piszą ci „literaci dla siebie” o pracy na roli, o walce o pokój, wkładają serce w utwory o nowym życiu, o entuzjajzmie, z jakim polski robotnik buduje nowe domy, drogi, mosty.

Takim ludziom trzeba pomóc i to jak najprędzej i jak najwydatniej. Ich warsztat pracy należy udoskonalić, nauczyć ich pracować dla literatury.

Kol. Kulik ma swego nauczyciela, ob. Stanisława Czernika, który udzieli mu wskazówek w pracy literackiej, ale ile setek Kulików nie ma żadnej pomocy, a mają za to talent. Talent ukryty niewykorzystany, ale wprost bezcenny.

Jak im pomóc?

Czy któryś z literatów nie zechciałby opracować broszury, lub książki, która zawierałaby wykład teorii literatury, a byłaby napisana językiem prostym, dostępnym dla każdego czytelnika i jednocześnie byłaby tania? Sądzę, że Związek Literatów Polskich powinien zainteresować się tą sprawą i nawet gdyby takie wydawnictwo przyniosło wydawcy deficyt materialny, rzucić na rynek tego rodzaju podręcznik dla początkujących literatów.

Ale to nie wszystko. Podręcznik teoretyczny — to dobre tylko dla początkujących. Zaawansowanym, których twórczość już można podać konsumentom, należy pomóc inaczej.

Tych trzeba zrzeszyć w klubach początkujących literatów, gdzie pod kierunkiem doświadczonych nauczycieli tzn. znanych poetów i prozaików, będą mogli dyskutować nad swoją twórczością.

Poza tym, sądzę, że pisma literackie mogłyby w każdym numerze poświęcać 1 czy 2 strony twórczości najmłodszych, jeszcze nieznanym literatów. To będzie ich trybuna, na której będą mogli ogłaszać swe utwory.

W Polsce Ludowej bardzo ożywiła się twórczość młodych. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego. Po wielu dziesięcioleciach lat „literackiej niewoli”, kiedy chłopcy ze wsi nie śmiali nawet marzyć o wydrukowaniu swego utworu, nastąpiło zwolnienie i otwarcie bram zamkniętych dotychczas szpalty pism literackich dla szarego twórcy kultury.

JERZY WACZIŃSKI

Jan Marszałek

Pomóc pisarzowi z terenu!

Słuszny w zasadzie artykuł Br. Chęcińskiego w sprawie kadr literackich w 35 nrze „Wsi” budzi w pewnym miejscu poważne zastrzeżenie. Autor artykułu podkreślając konieczność przygotowania nowych kadr literackich, kadr wywodzących się ze środowiska robotniczego lub chłopskiego proponuje — już jako końcowy etap uaktywniania pisarskiego tych kadr — założenie specjalnej „Biblioteki Pisarzy Robotniczych i Chłopskich”, w której — jak pisze Chęciński — ukazywały by się debiutanckie pozycje poezji i prozy, zaopatrzone w krytyczne omówienie, genezę literacką i biografię autora. Chciało by się od razu zapytać autora projektu — cui bono? Czy osobne wydawnictwo dla debiutantów, nawet gdyby było opatrzone ich biografiami, istotnie ułatwiło by im opowiadanie i techniki pisarskiej? Czy uzbudziło by ich ideowo i fachowo, czy ułatwiło by im pracę?

Bardzo wątpliwe.

Dla pisarza daleko ważniejsze od tego, kiedy, jest pytanie — jakie pozycje zacznie wydawać. Otóż projekt Chęcińskiego, choć może niejednemu z debiutantów przypadnie do serca, kryje w sobie niebezpieczeństwo obniżenia wymagań krytyki w stosunku do debiutantów. Jakkolwiek autor projektu nie zdaje sobie z tego sprawy, taka musiałaby być konsekwencja jego projektu w realizacji. Pisarz bowiem mający szansę wydać swą książkę „normalnym” wydawnictwem nie będzie potrzebował specjalnego wydawnictwa. Trafia zaś tam ci wszyscy, dla których wymagania w innych wydawnictwach będą zbyt wysokie. Tym samym projektowana przez Chęcińskiego „Biblioteka Pisarzy Robotniczych i Chłopskich” musiałaby się nieuchronnie stać zbiorem pozycji wyróżniających się wyjątkowo niekorzystnie w naszej bieżącej produkcji literackiej. Trudno jej było by z pewnością o czytelnika. A przecież nie sposób wydawać książek dla przyjemności ich autorów. Czytelnik jest tu ważny przede wszystkim, nie wolno go lekceważyć, częstując go choćby do pewnego stopnia nawet obiecującymi próbami. Debiutant, o ile ma rzetelne zadatki talentu, zdobędzie się zapewne na książkę w pełnej wartościowej, choćby czytelnikowi przyszło na nią rok czy dwa lata czekać. Lepiej mu wytknąć błąd przed wydrukowaniem słabej książki, niż po jej wydrukowaniu zbyć lekceważącym milczeniem, czy zgębną druzgocącą krytyką.

Wydaje mi się, że wydawnictwa dla debiutantów nie tylko nie pomogą by, lecz wręcz zaszkodziło by tym wszystkim, którzy z pomocy takiej instytucji zapragnęliby korzystać.

Zamiast organizować przedwczesne debiuty, daleko racjonalniejsze było by planowo zorganizowane poradnictwo literackie. I tu w pełni podzielałbym zdanie Chęcińskiego, który pisze:

„Prasa literacka powinna zerwać z dotychczasową zasadą milczenia w odpowiedzi na przesłane utwory.”

Prasa literacka ma duże możliwości, jeśli chodzi o poradnictwo literackie. Niestety redakcje nie doceniają na ogół tych możliwości ograniczając się jedynie do drukowania kwalifikujących się do druku prac, nie wyrażając autorowi słów twórczej, rzeczowej krytyki. I to jest właśnie przyczyna, że pisarz z terenu, z prowincji tak powoli robi na ogół postępy w opanowywaniu techniki pisarskiej. Zdany na własną intuicję twórczą, często błądzi po manowach nie mogąc odnaleźć właściwej drogi.

A przecież uzbrojenie pisarza terenowego, z zasady samouka — we właściwą metodę pracy, pomoc w usprawnieniu jego warsztatu twórczego, to najpewniejsza droga do przyspieszenia pełnego przełomu literacko-kulturalnego w Polsce. Pisarz terenowy siedzi niejako w centrum przemian ustrojowych Polski Ludowej. Nauczyć go patrzeć, nauczyć go widzieć zachodzące przemiany, nauczyć go rzemiosła pisarskiego w takim stopniu, by te przemiany potrafił z artyzmem utrwalic w swojej twórczości — to jedna z najkrótszych dróg wiodących naszą literaturę na pełne wody realizmu socjalistycznego.

Nie można poradnictwa literackiego prowadzić na sposób tradycyjny, innymi słowy, — nie można robić kpin z prób początkującego autora, jak to miało miejsce w dodatku literackim przedwojennej rządowej „Gazety Polskiej” redagowanej przez J. Kaden-Bandrowskiego, jak również nie wolno utworu o pewnych, choćby niewielkich walorach, zbyć nie mówiącymi ogólnikami, jakie często można było spotkać na ostatnich stronach przedwojennych czasopism literackich w rodzaju: „Wiersz słaby. Prosimy o inne”, albo „Odpowiadanie jeszcze nie do druku. Czekamy na inne, ciekawsze próby.”

Wydaje mi się, że na to, by autor odniósł jakąś korzyść z oceny redakcyjnej, musi ona być, nie krótka ogólnikowa, wzniątką w „odpowiedziach redakcyjnych”, lecz w miarę możliwości wyczerpująca, swego rodzaju listowną recenzją, opracowaną sumiennie przez odpowiedzialnego krytyka i przesłaną autorowi na jego adres.

W „odpowiedziach redakcyjnych” mogłoby się ukazywać jedynie krótkie wzmianki o odrzuceniu utworu, który był do takiego potraktowania nie nadawał ze względu na zbyt niski poziom i brak jakiegokolwiek zadatków talentu autora.

Ten typ odpowiedzi dotyczyłby tylko bardzo nieudolnych prób pisar-

skich. Natomiast utwory — jak się Chęciński wyraził — z pewnym stażem literackim, czy próby początkujących, ale zawierające znamiona niewątpliwego talentu winny być bezwzględnie kwitowane krótkszą, czy dłuższą, ale zawsze bezstronną — powtarzam — w miarę wyczerpującą oceną. W żadnym wypadku nie powinno się zdarzyć, że utwór pozostawiony przez redakcję bez odpowiedzi po kilkumiesięcznym odleżeniu się w materiałach redakcyjnych, trafia na gle do druku. O błędach, tak jak i o zaletach swego utworu winien być autor bezwzględnie informowany, gdyż ułatwi mu to ogromnie pracę i wskaże właściwą drogę do osiągnięcia wysokiego poziomu artystycznego i ideowego. Jasne, że tak zorganizowane poradnictwo literackie nakładało by na redakcje pism literackich poważne obowiązki, lecz systematyczne obowiązków, z których w obecnym stanie rzeczy trudno było by im się wywiązać. Nie mniej powinny się znaleźć środki na to, by każda z nich była w stanie zatrudnić fachowych krytyków, których zadaniem było by opiniowanie prac młodych, czy nawet starszych pisarzy, których pisarstwo, obok niewątpliwych zalet ma także czy inne braki. Praca ta nie mogłaby być dorywcza, lecz systematyczna i planowa, winna być powierzona odpowiednim ludziom, którzy potraktują ją z pełnym zrozumieniem jako jedną z form walki o nowy typ kultury w Polsce.

To byłoby moim zdaniem najslusniejszą formą pomocy dla początkujących czy też częściowo już zaawansowanych pisarzy z terenu.

Drugą — równoległą do tej formy pomocy — realizowaną akcją winno być stałe studium literackie, które uzupełniałoby by teoretyczne wykształcenie początkujących pisarzy w zakresie literatury.

Studium to mogło by, a nawet ze względu na dobro debiutantów z terenu — winno być prowadzone systemem korespondencyjnym, z tym powiedzmy, że jeden miesiąc w roku poświęcony byłby na bezpośredni kontakt z wykładcami i dyskusje literackie.

Wydaje mi się, że obie te akcje, poradnictwo i studium korespondencyjne doskonale się uzupełniają i napewno w trakcie realizacji ujawniłyby jeden solidny talent, który dziś jeszcze pozabawiony planowej, zorganizowanej pomocy marneje, blaknąc się po drogach nieefektownego samouctwa.

Środki finansowe dla obu akcji winno zapewnić Ministerstwo Kultury i Sztuki w ramach swego budżetu, natomiast realizację ich należałoby powierzyć Zarządowi Głównemu Z.L.P., który winien je ująć w szczegółowo opracowaną formę organizacyjną i nadać im właściwy kierunek ideologiczny.

Jan Marszałek

Do Redakcji

Ostatnimi czasy piszę niewiele. Czytalem natomiast bardzo wiele i myślę. Zmiana ta nastąpiła w dużej mierze z powodu ukazania się w druku moich pierwszych wierszy. „Znaczeł zetempowce!” wydrukowała „Wieś” za co serdecznie dziękuję, a „Szkoła rośnie” — Sztandar Młodych.

Posza przyjemnością debiutancką umysłowość mi to niezwykle ważną rzecz: odpowiedzialność za słowa. Mo prośbę sobie pomyśleć. Wiersz mógł może przeczytać wielu ludzi, którzy u poezji szukają przeżyć, wzruszenia estetycznego, własnych uczuć. Jeżeli wiersz jest słaby ludzie ci zawiadają się, czyli moja praca jest bezwartościowa. Do tych kryteriów doszedłem na podstawie własnych poszukiwań — przeczytanych w utworach poetyckich. Nie wiem, o ile ten nowy stosunek do poezji odbił się w zażyciu na to wierszu — o tym dowiem się, faktem jest jednak, że zawarcie konkretnego społecznego we właściwej formie artystycznej zawierającej dostateczny ładunek przeżycia artystycznego, niemożliwe jest bez usilnej, wyłożonej pracy.

W tej pracy każda wskazówka jest niezwykle cenna i za nie serdecznie dziękuję. Choć byłem literatem jak i nauczycielem, by pracować z masami, uczyć je i uczyć się od nich.

Niedawno na egzaminie na wyższą uczelnię pisałem o kształtowaniu się świadomości robotnika w „Matce” i „Starym i Nowym”. I jeszcze raz dobitniej i głębiej uświadomiłem sobie jak ideologia marksistowska jest jednocześnie moją ideologią. Dzięki niej zdobyłem to, co posiadam i mam możliwość zdobycia tego, czego pragnę.

Gdzie bym ja przed wojną mógł marzyć o wyższej uczelni! A nawet za optymizm swobodnego człowieka, który kształtuje coraz to nowe wartości, należy się podziękować władzy ludowej.

Serdeczne pozdrowienia

Władysław Udalski
Dymki, pow. Wieluń

Nasi korespondenci piszą:

WIEŚ W PLANIE 6-LETNIM (III)

FRANCISZEK GRABOWSKI

PRZEZ WALKĘ KLASOWĄ DO DOBROBYTU

Wieś, o której piszę nazywa się Wiercany. Jeżeli kto chciałby dostać się do tej wsi, jadąc w stronę Rzeszowa, musiałby wysiadać na stacji Sędziszów połonowej mniej więcej w środku przestrzeni między Dębicą a Rzeszowem. Wysiadając w Sędziszowie musiałby skierować się na południe. Początkowo szedłby drogą w kierunku Rzeszowa, następnie 6-kilometrową szosą — dziełem już powojennym, zbudowaną przez Wydział Powiatowy w Dębicy. Następnie ciągnie się 4 km. drogi błotnistej, w której grzęzną wozy i konie w czasie deszczów, w czasie suszy tumany kurzu obsypują ogrody i łąki pobliskie. Przebiegająca 10 km. po tak urozmaiconej drodze, która jest zarazem symbolem postępu i zacięcia starego i nowego, znajduje się w Wiercanach. Jest to wieś licząca około 500 mieszkańców, położona w dolinie zamkniętej dwoma wzgórzami. Wiercany jak i okolice wsi mają chlubną tradycję budzenia się myśli postępowej i wolnościowej w okresie przed 1939 r. i w okresie okupacji. Ruchy chłopskie w sąsiedniej wsi, Nookowej, były kierowane przez silną na tutejszym terenie Komunistyczną Partię Polski. Czasy w okresie przedwojennym dla wsi były ciężkie. Nie solono białą solą, oszczędzano naftę i zapaliki. Zarobki uzyskane we dworze w sąsiedniej wsi Gwierzycy nie wystarczały nawet na życie. Po wojnie warunki materialne znacznie się poprawiły. Wieś częściowo się rozluźniła. Jedni wyjechali na Ziemię Odyskane, inni poszli do fabryki a młodzież do szkół po wiedzę, która dla nich przed tym była zamknięta. Życie skupiło się wokół szkoły, która mimo ciężkich warunków realizuje 7 klasę.

Ale dwie klasy w tej szkole nie wystarczają dla 200 dzieci i 5-ciu nauczycieli. Wybudowano więc barak, w którym mieści się dalsze dwie klasy. Barak nieudolnie postawiony w okresie zimy utrudnia jednak naukę i odbiera dzieciom i nauczycielom zdrowie.

Oprócz troski o budowę szkoły, Wiercany mają jeszcze inne bolączki. Taką jedną z najpoważniejszych to 4 km. błotnistej drogi, która czeka na naprawę. Niebawem sensacją była wiadomość, że Wiercany będą zelektryfikowane. Oczywiście możliwości są, wszak przez Wiercany przechodzi linia wysokiego napięcia, a w niedalekim sąsiedztwie druga linia elektryczna. Skończyło się jednak na zebrawaniu po 100 zł., ale światło elektryczne nie zabłysło w wiercańskich chałupach. Dalsza sprawa, która nie została załatwiona to sklep, filia spółdzielni ZSCh w Wiercanach. Sklep, do którego chodzą po zakupy mieszkańcy tutejszej gromady, znajduje się w drugiej wsi, w niedogodnych warunkach, w otoczeniu kulakim, którzy w pierwszym rzędzie zaopatrują się w towary. Kół partyjne uchwalilo wniosek o konieczności otwarcia filii w tutejszej gromadzie. Nawet przygotowano lokal na ten cel. Brakuje tylko małej rzeczy, a to zatwierdzenia tego wniosku przez władze powiatowe spółdzielni.

Pomimo tych trudności życie gromady toczy się naprzód z postępek. Nie ma domu, w którym by nie czy-

tano gazety. Rozwojem czytelnictwa mogą się Wiercany pochwalić. Biblioteka gminna wypożycza wartościowe i ciekawe książki. Większość młodzieży uczęszcza do szkół średnich ogólnokształcących i zawodowych. Pierwsze doświadczenia Planu 6-letniego dotarły już i na naszą wieś. Znaczna większość chłopów średnio i małych rolników wiośnienno wykonała przy pomocy siewników z osłodka maszynowego. Pierwszy raz w historii tutejszej wsi użyto w tym roku przy żniwach maszyn rolniczych. Chłopi przekonują się, że zastosowanie maszyn i nauki w rolnictwie daje większe korzyści. Świadomi chłopci tutejszej gromady wierzą, że problemy gromady zostaną rozwiązane w Planie 6-letnim. W pierwszym rzędzie w okresie planu przeprowadzi się rozbudowę szkoły o jasnych, zdrowych klasach i zaopatrzonej w pomoce naukowe i odpowiednie sprzęt szkolny. Dobro-dziejstwa Planu 6-letniego w tym kierunku są już widoczne. Szkoła Wiercany, w budowie na rok szkolny 1950-51 ma przeznaczone 900 tys. zł. Gdy rok temu, na całą gminę — to jest na 7 szkół przeznaczone nie więcej niż 900 tys. zł. z czego nie wydatkowano ponad 500 tys. zł. Członek Komitetu Rodzicielskiego Ignacy Florian ma nadzieję, że dążność jego do założenia przedszkola dla tutejszego obwodu szkolnego będzie zrealizowana w Planie 6-letnim. Potrzebna tylko kwota 100 tys. zł. na wykończenie lokalu i matki będą mogły posyłać swoje młodsze dzieci do przedszkola, aby móc spokojnie pracować w polu czy gospodarstwie, bez obawy, że dziecku stanie się jakaś krzywda lub nieszczęście. 4 km. drogi to nie wiele, ale te 4 km. drogi naprawionej, 4 km. szosy pozwoli na to, że wieś będzie więcej warta. W Planie 6-letnim jest nadzieja, że nie 4 ale 10 km. drogi będzie wysypane kamieniami. Dalsze gromady zasadniczo biedne, będą miały możliwość kontaktu z miastem i innymi wsiami.

Nie ma wątpliwości, że nierzadko zabłyśnie światło elektryczne, a co za tym idzie i radio znajdzie się w chłopskiej chacie, aby nieść nową kulturę i dać możliwość kulturalnego spędzenia czasu po pracy. Warunki te pozwolą budować nowe życie. Musimy stwierdzić, że okolica ma wiele możliwości rozwojowe, dotąd nie wykorzystane. Przez Wiercany przechodzi linia elektryczna wysokiego napięcia. Znajduje się tu źródło mineralne (słarczane) o wysokiej wartości. Własności leżnicze tych źródeł znane są w okolicy. Próby wypalania wapna z kamienia wapiennego znajdującego się na tutejszych terenach dały dobre rezultaty. Okolice te mają także swoją niezbadaną a ciekawą przeszłość archeologiczną. Chłopi wyorywają młoty kamienne, siekiery i noże krzemienne.

Co stoi na przeszkodzie rozwojowi gospodarczo społecznemu naszych okolic? Niektórzy chłopci jeszcze nie rozumieją wytycznych Planu 6-letniego. Nie wiedzą w jaki sposób Polska Ludowa dąży do wyciągnięcia ich z zacięcia i niedostatku. Dlatego wielką odpowiedzialność ciąży na czynnikach politycznych i oświatowych w dziedzinie oświaty. Należy szczególnie zwrócić uwagę na oświadczenia chłopów średniorol-

nych, w których widoczna jest jeszcze niedociekana postawa. Organizacja partyjna PZPR nabiera coraz większego znaczenia na terenie wsi. Już dziś duża część chłopów mało-rolnych rozumie, że ich droga do dobrobytu wiedzie przez spółdzielnię produkcyjną. Kulacy znajdujący się na tutejszym terenie, chcą zastraszyć małego rolnika i zahamować wzrost jego świadomości. Aby roboty tych kulaków unieszkodliwić, aby dokonać przemian w naszej wsi potrzebne są dwa elementy: z jednej strony uświadomić mało i średniorolnych chłopów, z drugiej strony zastraszyc kulaków z kulakami i wrogami Polski Ludowej. Kulacy w naszej wsi nie rezygnują z walki, ale coraz zacieklej rzucają oszczerstwa i kłamstwa. Bezustannie wymyślają sposoby hamowania rozwoju wsi. Straszają chłopów biednych, którzy „zarabiali” u nich: „jeżeli, dziadku, będziesz mówił co o spółdzielniach, to jak się zmienią, a zmienią się w krótko (!) — to cię na łeb wyrzucimy ze wsi”. Złotówkę wykorzystują każdą usterkę w organizacji zaopatrzenia spółdzielni handlowej: „widzisz — co masz w tej spółdzielni, cukru, ile chcesz nie kupisz, żelaza, ile chcesz nie kupisz, płótna, ile chcesz nie kupisz, tak będziesz miał i w spółdzielni produkcyjnej”. Starają się również grać na uczuciach religijnych. Co gorsza, kulacy znajdują poplecisków; wrogów, którzy się wkradli do różnych instytucji, urzędów a nawet Rad Narodowych. W sąsiedniej wsi jest młyn. Młynarz za nadużycie został zamknięty i młyn też. Chłopi ze złości muszą jeździć do odległych młynów, które są zawsze zawałone zbożem. Jednym słowem nie mają możliwości mielenia zboża. Postanowiono uruchomić młyn przez ZSCh, czy przez dzierżawę. Dotychczas potrzebna była zgoda młynarza (nie został on pozbawiony własności młyna). Wtedy 2 członków Pow. Rady Narodowej w Dębicy udali się do wieżniaka, tam spisano protokół, że młynarz absolutnie nie godzi się na otwarcie młyna. Celem ich było pozbawienie chłopów możliwości, przemiatu zboża, ażeby dać „chamom” po skórce, aby im się odechciało walki z bogaczami i spekulantami. Ten fakt, który miał miejsce w ostatnich dniach jest dowodem jakich środków używa wrogi i gdzie ten wrogi może się znajdować. O Planie 6-letnim mówią wrogi klasowy, że to odebranie ziemi chłopom, że nastąpi głód, ale do tego nie dojdzie, bo się zmienią (!!).

Zmieni się, ale na korzyść chłopów i robotników, zmieni się na ostateczną klęskę wrogów Polski Ludowej, wrogów pokoju i socjalizmu. Zwal-

czanie tej wrogiej propagandy przez Rząd Ludowy i Partię opiera się nie na gadaniu, ale budowie lepszego życia na wsi. Chłopi widzą, że ich dzieci mogą kończyć w swojej gromadzie 7 klasę szkoły podstawowej a przed 1939 rokiem, chcą mieć 7 klasę, musieli chodzić 10 km. do miasta Sędziszowa. Widzą chłopci, że 26 dzieci w tym roku, po ukończeniu kl. VII poszło do szkół średnich, o czym przed 1939 r. nie można było na wsi myśleć. Widzą chłopci, że w tej szkole dzieci są pod opieką; na samo dożywienie wydano około 200 tys. złotych w ciągu roku szkolnego. Sieroty dostają zapomogi pieniężne, dzieci biedne buty czy odzienie. W roku 1949 punkt opieki nad matką i dzieckiem samego płótna wydał matkom około 200 m. Widzą chłopci, że starcy dostają pomoc w postaci przydzielanych im prowiantów. Widzą, że buduje się droga, która już kosztuje kilka milionów złotych, widzą, że wybudowano szkołę w gromadzie Będzin za parę milionów złotych. Widzą, że buduje się dom gminy, że w pałacu obszarnika mieści się szkoła rolnicza, że na sam remont i potrzeby szkół przeznaczono na gminę ponad 5 mil. złotych. Młodzież i dzieci mają książki z biblioteki o jakich ich ojcom się nie śniło. Chłopi widzą, że człowiek biedny, dotąd krzywdzony, znajduje opiekę i pomoc Rządu i Partii. Z drugiej strony chłopci widzą, że kulacy, bogacze wiejskie, którzy straszą ich Planem 6-letnim, wyszukują parobków, pierwszy usiłują wydzierać towary ze spółdzielni, pożyczki czy nowozy sztuczne. Widzą, że ich dochody ze sadów, hodowli są duże, jeszcze kosztom pracy sił najemnych wyszyskane. Widzą chłopci mało i średniorolni, że dzisiaj sami decydują o własnym życiu i rozwoju poprzez Rady Narodowe, Partię i organizacje społeczne. Partia demaskuje wroga robotę i wrogi elementy, ujawnia metody wrogów w walce z postępek. To stanowi silny ciężar przeciwko wrogom wsi polskiej, przeciwko niesprawiedliwości. Uświadamianie chłopów mało i średniorolnych, poznanie założeń Planu 6-letniego, statutu spółdzielni produkcyjnych, sytuacji politycznej i gospodarczej kraju. Silna walka klasowa przez demaskowanie wrogów klasowych umożliwia włączenie się naszej wsi w 6-letni plan budowy podstaw socjalizmu na wsi. Wiercany razem z całym chłopstwem Polski Ludowej znajdują się w obozie budowniczych sprawiedliwości społecznej. Taką jest pozycja wsi Wiercany do 6-letniego Planu gospodarczego.

Grabowski Franciszek
Wiercany pow. Dębica

MARIAN MIREK

PODHAŁE Z UFNOŚCIĄ
PATRZY W PRZYSZŁOŚĆ

Podhałe to niewątpliwie jedna z części Polski najbardziej upośledzonych pod względem uprzemysłowienia kraju. Z jednej strony brak przemysłu, z drugiej strony przeludnienie sprawia, że stopa życiowa ludności Podhala jest stosunkowo bardzo niska. Produkcja rolna nie zaspokaja nawet konsumpcji tutejszej ludności, licha ziemia nie może wyżywić przeludnionych wiosek. Nadmiar rąk do pracy, na które składają się setki bezrolnych oraz chłopów, na karłowatych gospodarstwach wraz z ich licznymi rodzinami, to element na którym zerował przed wojną kapital. W okresie sanacji życie gospodarcze Podhala pozostawiano żywiołowemu biegowi, rosła ilość małych nieproduktywnych gospodarstw, wieś staczała się w nędzę.

Obecnie wieś Podhala zmienia swoje oblicze. W Polsce Ludowej dojrzała sprawa uprzemysłowienia ziem górskich. Problem jest już w stadium realizacji. W ramach Planu 6-letniego powstana na Podhalu dwa duże ośrodki przemysłu garbarskiego i futrzarskiego w Nowym Targu oraz w Jordanowie. W Jordanowie zostanie wybudowana garbarnia i fabryka futer, wyposażona w nowoczesne maszyny i narzędzia, która zatrudni około 2 tys. miejscowych robotników. Przy fabryce przewidziana jest budowa domów mieszkalnych, sanatorium oraz domu wypoczynkowego. Wędrujący chłopci, kuśnierze, garbarze, szewcy znajdą pracę i zarobek w nowoczesnym zakładzie, poprawi się sytuacja życiowa ludności Podhala. Powstana tutaj pierwsze skupiska robotników, ogniska socjalizmu.

Rozbudowujący się przemysł zatrudnia już wielu robotników z Podhala i tak np. z wioski Wysoka odległej o cztery km. od Jordanowa osiedliło się na Śląsku 20 osób, w Państ. Przedsiębiorstwie Budowlanym w Krakowie oraz przy budowie Nowej Huty pracuje 8 osób. „Zarobki wystarczają nam na wyżywienie i ubranie się i do domu jeszcze posyłamy pieniądze. Idziemy do kina, przywlekamy do innego życia” Tak piszą ci, którzy znaleźli pracę w przemysle, a którzy przed wojną daremnie wprasali się do pracy, szukając marnego zarobku w okolicy „aby żyć”. Nie ma już „taniego robotnika” na wsi, nie ma już wędrujących kosiarzy dla zarobku. Poprawia się również z roku na rok zapotrzebowanie ludności. Na

Wysokiej przed wojną był tylko jeden mały sklep spożywczy, gdzie można było kupić tylko niezbędniejsze rzeczy. Obecnie jest tutaj dobrze rozwijający się od 2 lat sklep G. Sp. Sam. Chł. w którym obroty towarami spożywczymi są 5-ciokrotnie większe niż w przedwojennym sklepie, oprócz tego chłopci zaczynają się tutaj w zboże selekcyjne, nawozy sztuczne, narzędzia rolnicze, towary tekstylne.

Wysoka — to mała uboga wioska, gdzie mimo pięknego położenia (na słonecznym stoku góry, wśród lasów) letnicy nie przyjeżdżają, bo kiepska droga i brak wygodnych mieszkań. Obszar jej wynosi 1.400 ha, z czego połowa przypada na lasy państwowe (dawnej własności hr. Zielińskiego) reszta 700 ha na grunta uprawne i łąki chłopskie oraz nieużytki. Ludność liczy gromada 735 osób. Na skutek reformy rolnej grunta podworskie zostały rozparcelowane między gospodarzy najbiedniejszych tak, że nie ma dużych rozpiętości majątkowych, przeważnie są gospodarstwa od trzech do sześciu ha. Dwa są tylko gospodarstwa duże (jedno 12 ha, drugie 15 ha), kilka gospodarstw poniżej 2 ha, łącznie we wszystkich gromadach Wysoka posiada 158 gospodarstw. Wszyscy zatrudnieni są w rolnictwie, mały ośrodek pracuje w leśnictwie, komunikacji i rzemiośle. Dużo zmieniło się tutaj od roku 1945, wieś może poszczycić się dużymi osiągnięciami w budowie, a także w rozbudowie. W 1939 r. Niemcy spalili wieś kompletnie (ze 160 domów ocalało tylko 6 na uboczu) wywieźli 70 tys. kub. drzewa z samego tylko rejonu Wysokiej. Gospodarstwa są już dzisiaj odbudowane (kilka wymaga jeszcze wykończenia wewnątrz), i o wiele lepiej i piękniej niż były. O życiu gospodarstwach wsi decydują sami chłopci. Z ich inicjatywy powstał sklep Gm. Sp. Sam. Chł. W 1947 r. zbudowano nową szkołę na miejscu spalonego dworu. Dzisiaj w 7 oddziałach uczy się 113 dzieci. Przed wojną dzieci uczyły się w wynajętym izdebce, były tylko 2 oddziały. Założono przy szkole przedszkole oraz bibliotekę, zlikwidowano analfabetyzm, a „niepiśmiennych” było tutaj aż 35-ciu. Powstały niedawno pierwsze sklepy ZMP, i ZHP. Chłopi chętnie prenumerują „Gromadę”, gdzie obok wiadomości różnych mają wiele praktycznych wskazówek dla gospodarstwa.

Pierwsze kroki najtrudniejsze ku lepszej przyszłości ma już Wysoka poza sobą. Z poważniejszych planów na najbliższe lata należy wymienić meliorację 200 ha ziemi podmokłej, elektryfikację i radiofonizację oraz budowę Domu Ludowego na placu gromadzkim tak koniecznego tutaj dla rozwinięcia życia społeczno-kulturalnego. Plan trudny do zrealizowania, lecz z pewnością przy pomocy państwa ludowego Wyszocanie poddadzą zamierzonymu zadaniu. Uporem swym i zawziętością rozbudują wieś. Bohaterskiej wiośce odznaczono Krzyżem Grunwaldu rząd z pewnością nie odmówi pomocy jeśli tylko Wyszocanie opracują dokładny plan przebudowy swej wsi.

Dla podniesienia zamożności i dobrobytu wsi konieczne jest zorganizowanie na wyższym poziomie produkcji rolniej. Istnieje już w okolicznych wsiach ośrodki maszynowe przy Gm. S. S. Ch. brak ośrodka na Wysokiej. Konieczne jest dla gromady siewnik i maszyna z motorem do mielenia, gdyż na omłot maszyną mogą sobie tylko pozwolić bogatsi, biedniejsi miłość jeszcze cepami. Klęską Wysokiej jest szachownica gruntów utrudniająca gospodarowanie i uprawę pól. Ta szachownica utrudnia mechanizację rolnictwa. Stoki południowych Beskidów nadają się na zakładanie sadów, których tutaj brak. Przemysł przetworów owocowych dąbby dodatkowe zajęcie tu ludności, podobnie jak w Tymbarciu. Ale te wszystkie sprawy dadzą się rozwiązać dopiero w ramach spółdzielczej gospodarki na roli, o potrzebie której coraz więcej się w Wysokiej myśli i mówi.

Aniela Daszewska

Marian Mirek

WIELKI KONKURS

„SZTANDARU MŁODYCH”
NA POWIEŚĆ, NOWEŁĘ I OPOWIADANIE

Redakcja „Sztandaru Młodych” ogłosiła konkurs otwarty na powieść, nowelę lub opowiadanie.

Tematem prac konkursowych mają być tradycje młodzieży walczącej w szeregach KZMP, a później ZWM i AL, przeciwko faszystyzmowi, oraz prace młodzieży przy odbudowie i budowie Polski Ludowej, jej udział w walce o spółdzielczość produkcyjną na wsi, we współzawodnictwie pracy itp.

Rozmiar i forma utworów konkursowych — dowolna. Termin dostarczania prac konkursowych upływa z dniem 1 marca 1951 r. Jury konkursu przynajmniej wyróżniających się prac następujące nagrody:

I nagroda — 200.000 zł.—
Dwie II nagrody po 100.000 zł.—
Trzy III nagrody po 50.000 zł.—
oraz 100 nagród książkowych.

Redakcja „Sztandaru Młodych” zajmie się wydawaniem zasługujących na to utworów, oraz otoczy specjalną opieką autorów prac świadczących o talencie pisarskim

PRACOWNIA MŁODYCH

(dokończenie ze str. 6.)

— Kiedy uczyć się, pytasie? — W tramwaju i w nocy... — odpowiada śmiejąc się. — No, i w niedzielę. Gdzie mieszkam? Na Woli...

Gzubicki nie lękał się miał drogę na swoje dwuletnie „Skrocone Kursy przy Politechnice Warszawskiej dla techników z długotrwałą praktyką”. Jest pierwszym projektodawcą tych kursów. Projekt jego poparty przez Podstawową Organizację Partyjną i przez KC PZPR — został zrealizowany — i obecnie kursy te liczą dwustu uczniów a kolega Gzubicki jest już słuchaczem drugiego roku.

Na czym polega organizacja i wartość waszej pracowni młodzieżowej? Kolega Bobrowski poruszył się żywo, podniósł głowę z nad roboty, odłożył ołówek i podszedł do stolika przewodniczącego pracowni.

Dwa momenty są tu nowe i rewolucyjne — powiedział jakoś uroczysto i bojowo, szeroko gestykulując ręką. — Po pierwsze: stanowiący jeden zgodny, coraz bardziej zwarty kolektyw młodych architektów i konstruktorów, projektantów i techników, kreślarzy. Wspólnie — kolektywnie opracowywujemy plany, pomagamy sobie, podciągamy się wzajemnie, zawodowo i ideologicznie.

Po drugie: sprawy finansowe postawiliśmy na platformie wspólnych i równych dochodów. A więc nie wedle kwalifikacji i norm, jak we wszystkich pracowniach, lecz według wydajności pracy. Na comiesięcznym zebraniu określamy wspólny wydatkowanie w miesiącu, inny dla każdego z nas, zależnie od pracy. Możemy przez liczbę przepracowanych godzin i w ten sposób osiągnąć liczbę punktów. Wartość pieniężną punktu jest zależna od miesięcznego dochodu całej naszej pracowni, dzieląc go przez liczbę członków pracowni otrzymujemy wartość pięt-

ną punktu, który jest podstawą obliczeń naszych dochodów.

— Czy wszyscy są zadowoleni?

— Tak odpowiada pewnie Gzubicki. — Najlepszy dowód, że wszyscy bez sprzeciwu podpisują listy płac, choć ostatnio mieliśmy wypadek, że dwóm kolegom za pewne objawy bumelanctwa obliczyliśmy znacznie niższe współczynniki wydajności.

— No i co? Podpisali?

— Tak! Podpisali. Przyszliście racje kolektywowi. Bo jakże to? Wszyscy mają za nich robić, kiedy oni nam bałagania? Nie ma tak! Należenie do pracowni obowiązuje i jest pewnym awansem społecznym i materialnym. Możemy uścisnąć z kolektywu lub przysiąc, o tym decyduje nasze kóło ZMP.

— W tej chwili na przykład przyjmujemy do naszej pracowni kolegę Kowala — wtrąca spokojnie Solecki, podnosząc się z nad swoich obliczeń. Spokój, skupienie i powaga maluje się w całej jego postaci, w ruchach i twarzy. Kolega Kowal nie ma żadnego wyszkolenia technicznego, pracuje w administracji, ale jego kwalifikacje moralne i zdolności otwierają mu drogę do naszego zespołu, chcemy mu pomóc do awansu, chcemy go wyszkolić.

Z początku mieliśmy trudności w organizowaniu i utrzymaniu naszej placówki — mówi Gzubicki. — Mammy oparcie i pomoc czynników partyjnych, ale i często sprzeciwu i brak zrozumienia niektórych starszych inżynierów, którzy uważają, że jesteśmy za młodzi, żeby się zawodowo „emancypować”, że tak — jak to za ich czasów bywało — powinniśmy wiele lat praktykować u boku starych, doświadczonych inżynierów, pracując nad ich planami... zanim zaczniemy samodzielnie.

Wydajność też mamy niełą — mówi Solecki — zawsze wyrabiamy około dwustu procent. A z okazji czynu lipcowego zrobiliśmy pewne poważne terminowe obliczenie statystyczne...

— Nie się nie chwaliś, Solecki... — przerwał mu jak zwykle żywo Bobrowski. — Nie się nie chwaliś swoim „czynem pokój”. Przesiedziałeś w biurze nad robotą trzydzieści sześć godzin... Pierwszego i drugiego września.

— Ach ty zawsze! — broni się młody konstruktor. — Istotnie mieliśmy zobowiązania, a że nam zabrakło jednego z naszych planistów do innej roboty, musieliśmy siedzieć. To chyba jasne!

— Aleś ładną robotę „odwalił” — śmieje się Bobrowski.

PO „ZŁOTE RUNO” DO AMERYKI

(Dokończenie ze str. 5-jej)

o zmianę systemu, a nie o zabijanie ludzi.

— Nex — krzyknął. Detektywy wyprowadził mnie a wprowadził innego towarzysza.

Jak się potem dowiedziałem, egzaminatorem był prokurator powiatu Oneida, Mr Lee a obok siedział Mr. Durham, redaktor miejscowego pisma porannego „Utica Morning Press” tak zwany boss. On to zarządził zrobienie z nas „dobrych ludzi” przez szkołę i obywatelstwo.

Kocham kraj amerykański. Piękne są góry Allegheny, Góry Skaliste, jeziora i rzeki, bory, równiny. Naród amerykański ma w sobie zasady demokratyczne i tolerancyjne. Kocham Stany Zjednoczone za walkę rewolucyjną o niepodległość z królewsko-zaborczą Anglią. Kocham za wojnę domową o równość ras. Kocham za brygadę amerykańską walczącą po stronie demokratycznej Hiszpanii. Kocham Amerykę wolną za nieznanie jej rządu przez carską Rosję, za wyzolenie się spod lordów angielskich. Kocham ją za Robesona, Levisa, Fasta, Sinclaira, Dreisera, Whitmana. Kocham ją za dom schronienia dla licznych naszych powstańców i za ich niczym nieskrepowaną pracę dla ojczyzny i jej wolności w okresie rozbrojenia.

Kocham i mam prawo kochać za przeszło ćwierć wieku ciężkiej pracy dla jej budowy. Ale brzydzę się amerykańskiego klanu, linczu, hańbnych spraw jak Sacco-Vanzetti, Scotland, dziesięciu osadzonych w więzieniu komunistów, zamknięcie Fasta, komisji do spraw amerykańskich. Brzydzę się amerykańskiego ekranu, radia, ambo, prasy. Brzydzę się amerykańskiego imperializmu i szantażu atomowego!

Brzydzę tej beczelnej za-

chłanności na pot i krew licznych narodów świata, która chcą oprowadzić w celu wyzysku i niewoli. Brzydzę się hitlerowskich metod stosowanych w Korei, rozstrzelania tych, którzy chcą wolnej ojczyzny i mordowania bezbronných dzieci, kobiet i palenia domostw.

Gdy przed wieloma laty pod pokładem „Laplanta” jechałem do Ameryki, marzyłem o dobrobie i tam. Długoletnia tam praca, warunki, wyzysk dorobiły mnie umysłowo i dorobiły człowieka. I dziś o dobrobie nie w Ameryce marzę nie przestając, ale o dobrobie u amerykańskiej klasy robotniczej i narodu prawdziwych ludowych rządów. Wolnej Ameryki!

Czas marzeń minął. Marzą tylko słabi, człowiek walczy. O jasną przyszłość swego narodu walczy zdecydowanie klasa robotnicza, a Amerykę bez linczu, bez podległości wojennych i imperializmu, bez klanów, bezrobocia, marnotrawstwa pracy ludzkiej, o sprawiedliwy podział dóbr i produkcji. O pracę, spoczynek, opiekę lekarską, szkołę dla wszystkich i wolność.

Sewerny Skulski

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL

Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starowiejska Nr. 7

Prenumerata i Kolportaż: P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.

Tel. Red. Nacz. 721-11. Tel. Redakcji 781-30. Wewnętrzny 23 i 97.

Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. „OŚW. C. Z. Y. T. E. L. N. I. K.”

REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA

Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.

Wartość prenumeraty: miesięcznie 100.— zł.; kwartalnie 300.— zł.; półrocznie 600.— zł.; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO

Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem za twr. „Wieś”

Drukarnia nr 2 Spółd. Wyd.-Ośw. „Czytelnik”. Marszałkowska 3/5

B-127221